

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety

ROK LXI

WARSZAWA, DNIA 5 MAJA 1928 ROKU

NR 19

TREŚĆ NUMERU: Ś. p. dr. Józefa Joteyko—*Natalja Jastrzębska*. Ponura rubryka—*Irena Pannenkowa*. Zanim kłamka za padnie—*M. H. Szpyrkówna*. Poezje: Z cyklu „Żywoty”: „Jabłoń”, „Gęstwina”, „Leszczyna”—*M. Czerkawska*. Ubogikrewny — nowela — *Miłosz Gembarzewski*. Wędrowka z wiatrem — *Wanda Borudzka*. Miasto fata morgany — *Stefanja Podhorska - Okołów*. Impresje kościelne — *Zygmunt Knothé*. Poemat o ziemi — *Stefanja Podhorska - Okołów*. Z teatrów—*S. P. O.* Kobieta w świecie i domu—*W. B., H. S., J. K.* Obrazy z historii mody — *Stefanja Zahorska*. Coś niecoś o odpoczynku u nas i gdzieindziej — *Han. Skar.* Ogródki dziecinne — *W. D.* U pana Bolesława Horodyńskiego — *Pani Elżbieta*. Malowanie, zaciąganie i utrzymanie podłóg i posadzek — *Dobra Gospodyni*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dobre rady. Korespondencje. Dodatek „Mody i roboty”: Dwie tendencje mody wiosennej — *Well*. Rola kapelusza w sylwetce — *Helena Wolska*. Przybory podróżne. Dodatek powieściowy: „Niewolnicy” — *Monteiro Lobato* (dok.) przekład z portugalskiego *J. Świerczewskiej*. „Bursztynowa księżniczka” — *George F. Worts* — tłum. z angielskiego — *W. M.* Arkusz wzorów.

Ś. P. DR. JÓZEFA JOTEYKO

Istnieje ogólna teoria o trudności pierwszych czynności, używana i nadużywana często dla sądzenia łagodnie i pobłażliwie pierwszych prób, dla usprawiedliwienia ich słabości i niepowodzeń.

Jakże mocną i wysoką musi być dusza kobiety polskiej, jak głęboką jej inteligencja, jak gorącym umiłowanie wiedzy i światła—skoro pozwoliły jej one być żywym i głośnym zaprzeczeniem tej teorii!

Pierwsze pokłosie naszych kobiet, które po niesłychanych trudach i przewyciężeniu przeszkód zdobyły możność studiów uniwersyteckich, przyniosło nie słabe próby, dla których potrzebaby pobłażania, lecz wydało szereg pionierek wiedzy kobiecej, niestrudzonych pracownic na niwie naukowej i społecznej, a wśród nich kilka imion, które opromieniły Polskę blaskiem sławy.

Jedną z takich, najsłynniejszą w świecie uczoną obok Curie-Skłodowskiej, była zmarła przed kilku dniami ś. p. dr. Józefa Joteyko.

Wybitny talent, niezmordowana pracownica, uczona o genialnej intuicji, współtwórczyni nowej wiedzy, pedologii, a przytem niezmordowana nigdy w pracy społecznej, biorąca udział w każdym zamierzeniu szlachetnego postępu, zawsze widna na jego wielkiej, świetlanej drodze, zawsze sercem i pracą obecna tam, gdzie otwierało się pole inicjatywy i działalności dla kraju rodzinnego.

Urodzona w r. 1866, ś. p. Józefa Joteyko ukończyła gimnazjum w Warszawie, i zmuszona szukać zagranicą dostępu do wyższej wiedzy, uzyskała bakalaureat nauk przyrodniczych na świeżo wtedy otwartym

uniwersytecie genewskim, który jeden z pierwszych otworzył kobietom swe podwoje. Stopień ten nie zadowolił jednak ambicji młodej studentki i jej pragnienia wiedzy. W parę lat potem zyskuje w Paryżu dyplom doktora medycyny, a w roku 1898 wyjeżdża do Belgii.

Bruksela była wtedy środowiskiem naukowym najmłodszych gałęzi wiedzy nowoczesnej pedagogiki, psychologii i, niestety, do dziś jeszcze niezupełnie docenianej, a zwłaszcza zbyt mało studjowanej i stosowanej w praktyce — pedologii. Dr. Joteykówna odrazu zajęła w ruchu tym wybitne stanowisko, odznaczając się dziełami o wysokim poziomie naukowym. Ponieważ wiedza oficjalna trzymała się odporne wobec nowych kierunków—dość powiedzieć, że psychologia przez długi czas nie była uznana godną katedry uniwersyteckiej! — założono w Brukseli Wolną Wszechnicę — „Université libre”, w której dr. Józefa Joteyko objęła katedrę pedologii w założonym przez siebie międzynarodowym fakultecie pedologicznym, a także kierownictwo laboratorium psychofizjologii i asystenturę w Instytucie Fizjologicznym Solvaya.

Przywołując na pamięć sumę Jej pracy, ogarnia nas zdumienie nad ogromem tej niezmordowanej i wytężonej działalności. Obok wykładów, jest jeszcze uczona polska przez 6 lat, od 1908—14 roku, naczelną redaktorką „Revue Psychologique”, w r. 1905-6 — przewodniczącą belgijskiego Towarzystwa Neurologicznego, przewodniczącą kongresu neurologji i psychjatriji w Liège w r. 1905, organizatorką i sekretarką

generalną I kongresu międzynarodowego pedagogii w r. 1911. Jednocześnie pracuje, jako członek - korespondent Królewskiego Towarzystwa Nauk lekarskich i przyrodniczych w Brukseli, Akademii Nauk w Paryżu, we Włoszech i w całym szeregu innych instytucji naukowych i naukowych wydawnictw, biorąc poważny udział w wielkim dziele zbiorowym, wydanym przez Richeta: „Dictionnaire de psychologie“.

Pisze niezliczoną ilość prac (około 200) z zakresu psychofizjologii, pedagogii i psychologii: „Znużenie“ „Psychofizjologia bólu“ „Funkcje mięśni“, „Nauka pracy i organizacji“, wspaniała, pierwsza i najświetniejsza z dotychczasowych, rewelacyjna wprost, stanowiąca do dziś wytyczną przewodnią w tym kierunku: „Metoda testów i jej wartość naukowa“, „Psychologia kształtów i jej związek z zasadami szkoły pracy“ i tyle innych, że wymienienie ich przekroczyłoby ramy krótkiego artykułu. Pisze po francusku, rozślawiając metodę swoją w całym świecie naukowym, ale ani na chwilę nie przestaje myśleć o kraju, starając się, gdy tylko możliwość się nasuwa, tworzyć w Polsce placówki naukowe i społeczne, bierze żywy udział we wszystkich poczynaniach na niwie ojczystej.

W r. 1907 była ś.p. dr. Joteykówna jedną z najwybitniejszych uczestniczek zjazdu jubileuszowego Stow. kobiet imienia Elizy Orzeszkowej. Zjazd, który stał się hasłem i podstawą szerokiej inicjatywy i pracy kulturalnej kobiet polskich w okresie chwilowej przerwy ucisku rosyjskiego. Bawiąc w Warszawie w tym czasie, wygłosiła dr. Joteyko szereg wykładów i zapoczątkowała wiedzę pedagogiczną w Polsce.

Działalność uczzonej naszej w Belgii przerwała wojna. W r. 1915 dr. Joteyko przeniosła się do Paryża, gdzie — pierwsza kobieta — otrzymała katedrę w Collège de France; w r. 1917 wykładała w Sorbonie i w uniwersytecie w Lionie: Studja eksperymentalne nad inteligencją.

Z chwilą odrodzenia Polski, dr. Joteykówna porzuciła całą swą działalność zagranicą, wracając do kraju. Przez sześć lat pracowała, jako profesorka w Instytucie Pedagogicznym Warszawskim, wykładając psychologię na wydziale pedagogicznym i kierując laboratorium psychologicznym Instytutu. Po zamknięciu tej uczelni, skasowanej z niewiadomych, doprawdy, powodów, była bowiem świetną szkołą dla nauczycieli — objęła prof. Joteyko katedrę na Wolnej Wszechnicy.

Nie zaniechała w tym czasie pracy pisarskiej, redagując kwartalnik „Polskie archiwum pedagogii“ i kwartalnik koła absolwentów Instytutu. Nadto ogłosiła w języku polskim nowe dzieła: „Wykłady pedagogii“, „Badania zmysłów u dzieci“, „Pamięć a inteligencja u dzieci“, „Poziom inteligencji uczniów gimnazjum niższego“, „Postulaty szkoły twórczej w prawach struktur psychicznych“. Książki, oparte na zasadzie badań eksperymentalnych w szkołach polskich, nieocenione wnioski ze statystyki doświadczeń psychofizjologicznych.

Ogromna część pracy Joteykówny wiąże się z zagadnieniami praktyczno - pedagogicznymi: idealnego określenia natury fizjologicznej i psychicznej dziecka, jego sposobu reagowania na podniety zewnętrzne, poznania stopnia natężenia uwagi, odporności na znużenie i t. p. Świetna metoda testów, pozwalających wypróbować wszystkie właściwości psychofizjologiczne ucznia, wyniki badań laboratoryjnych i doświadczalnych w szkołach, teoria i praktyka, całe, rzecz można, zastosowanie pedagogii w szkołach polskich — są nieśmiertelną zasługą wielkiej uczzonej, tytułem do najwyższego uznania i wdzięczności dla niej od szkoły polskiej.

Koła naukowe zagraniczne zadokumentowały swe uznanie dla ś. p. Joteykówny wielokrotnie. Otrzymała odznaczenie uniwersytetu paryskiego za pracę doktorską „O znużeniu mięśni“, pięciokrotnie nagrodę Akademii Nauk w Paryżu, nagrodę Collège de France, szereg nagród Królewskiego Towarzystwa nauk medycznych i przyrodniczych w Brukseli, itp.

W Polsce pierwsze Koła Kobiety wystąpiły o zasłużoną nagrodę dla uczzonej. Stowarzyszenie kobiet z wyższem wykształceniem podało dr. Joteykównę jako kandydatkę do stypendjum Międzynarodowej Federacji Kobiet, t. zw. „The Ellen Richards research prize“, udzielanego za wybitną i doniosłą w skutkach działalność naukową.

Nie doczekała już uczona tej nagrody. Osobiście skromna, nie wysuwająca nigdy swych zasług, oddała całą wiedzę i niezmordowaną do ostatnich chwil życia działalność na usługi kształcenia wybitnych, wykwalifikowanych wychowawców-psychologów, prowadzących nowymi torami młodzież — przyszłość narodu. I przyszłość też napewno lepiej, niż współczesność, oceni i uczci Jej wielką pracę i zasługę.

Natalja Jastrzębska.



IRENA PANNENKOWA

PONURA RUBRYKA

W kronice sądowo-policyjnej z jednego tylko tygodnia ub. m. zanotowano dwa fakty, rzucające szczególnie ponure światło na nasze stosunki szkolne:

1) Na wokandzie warszawskiego sądu apelacyjnego znalazła się sprawa ucznia gimnazjalnego z Białegostoku, który strzałem w serce zamordował na ulicy nauczycielkę za to, że postawiła mu zły stopień.

2) W Przemyślu uczeń gimnazjalny z 5-ej klasy, napadłszy z analogicznego powodu na nauczycielkę i zagrożony przez to wydaleniem ze szkoły, odebrał sobie życie.

W styczniu b. r. pisma warszawskie doniosły o czterech wypadkach samobójstw, popełnionych przez młodzież szkolną. Półroczel.. Pod koniec ubiegłego roku szkolnego takich wypadków było około dziesięciu, a w sądzie mieliśmy proces Lampisza, ucznia, który zabił dyrektora.

Kiedy przed paru laty uczeń gimnazjum wileńskiego zamordował nauczyciela, wrażenie było wstrząsające, czego miarą był fakt, że w całej Polsce wydano nadzwyczajne dodatki pism z doniesieniem o zbrodni. Fakt tego rodzaju zdarzył się wtedy poraz pierwszy w wolnej Polsce i wtedy jeszcze zdawał się niezwykły. Ale fakty takie zaczęły się mnożyć i dziś przeniosły się już do... kroniki kryminalnej, a więc gdzieś obok klasycznej rubryki dziewcząt, trujących się esencją octową, lub różnego rodzaju wykroczeń bandyckich.

Mamy więc już coroczną i co roku obficie wypełnianą rubrykę samobójstw i zabójstw, popełnianych przez młodzież szkolną. I już nie wydajemy z tego powodu dodatków nadzwyczajnych.

Jest coś, co jest o wiele gorsze jeszcze, niż nieszczęście i nawet, niż zbrodnia: to jest spowszednienie nieszczęścia i zbrodni. Występek jest miarą upadku jednostki. Ale spowszednienie występków, ale bezradność wobec jego objawów—jest miarą upadku społeczeństwa, bo stwarza atmosferę, w której zło swobodnie się szerzy, a więc choroba staje się chroniczną. A to już jest nieszczęście społeczne.

Znakomity francuski historyk, Gaston Boissier, analizując przyczyny upadku Rzymu i usiłując wytlumaczyć ówczesną psychikę tego wielkiego, a tak bezradnie ginącego narodu, zaznacza między innymi: „La cruauté s'apprend, ... l'homme s'y fait par l'exemple” (Okrucieństwa można się nauczyć, człowiek przyzwyczaja się do niego na mocy przykładu). I jeszcze dodaje: człowieka można „przyzwyczaić do żywienia pogardy dla życia ludzkiego”. Tłum (w Rzymie), przywykły patrzeć obojętnie na to, jak ginęło tyle osobistości wybitnych, zatracił wrażliwość na męki i śmierć

wogóle. I tak uformowała się psychika „tego nędznego ludu za Cesarstwa, który takie obrzydzenie w nas budzi w opowiadaniach Tacyta”.

Czytając te zdania Boissiera, łatwo już samemu sobie wysnuć wnioski: ten odrażający jałowem, niewolniczym bohaterstwem okrzyk ginących na arenie cyrkowej gladiatorów: „Morituri te salutant, Caesar!” stał się niebawem okrzykiem symbolicznym dla ginącego w upodleniu niewolniczym narodu.

Oto jest przestroga dla narodów żywych i wolnych.

Nasze pokolenie, które przeszło Wielką Wojnę—które w znacznej liczbie jej byłych uczestników oswoiło się, niestety, aż nadto ze smutną odwrótną stroną wojennego bohaterstwa: z bezprawiem, z triumfem siły brutalnej, z okrucieństwem, z zapachem krwi ludzkiej, ze wzdrganiem dla ludzkiego życia — znajduje się pod tym względem na niebezpiecznej pochyłości. I rzeczą najgroźniejszą jest, że za jego wzorem na tę pochyłość wkroczyć mogą, wkraczają już częściowo i—najmłodsi!

Społeczeństwo jest jakby wielkim domem: starszym nie wolno zapominać, że w tym wielkim, wspólnym domu nie są sami, że otaczają ich dzieci, które ich widzą i, świadomie czy nieświadomie, naśladują.

Dziecko nie analizuje i nie rozumie powodów tej nienawiści partyjnej i osobistej, tej pogardy dla czci i życia bliźniego, albo tej apatii, czy zgrzytliwości bezsilnej, która zatruwa atmosferę naszego życia społecznego, — ale dziecko oddycha z konieczności jej miazmatami i samo się zatruwa powoli.

To też na przestępstwa dziecinne nie wolno nam patrzeć pod kątem widzenia kodeksu karnego jedynie.

Uczeń, który zabija się, albo zabija nauczyciela, składa niewątpliwie dowód zupełnego zdziczenia moralnego, albo ciężkiej choroby moralnej; ale tembardziej, w obu wypadkach, nie przestaje być przedewszystkiem dzieckiem, głęboko, przerażająco nieszczęśliwym. Cóż to za straszny wyrok i wyrzut dla starszego społeczeństwa, że, odzyskawszy ojczyznę wolną, nie potrafiło dzieciom nawet zapewnić tego, co stanowi, stanowić powinno, istotny przyrodzony żywioł dzieciństwa i wczesnej młodości: — ufności, pogody, czci dla życia, radości życia i szczęścia!

Coś jest nie w porządku w naszym życiu wogóle i w naszych stosunkach szkolnych w szczególności. Ale co mianowicie?

Nie brak prób zrzcucenia całej odpowiedzialności na nauczycielstwo. Jest to nonsens równie oczywisty, jak smutny. Smutny—bo nauczyciel, którego posterunek staje się w tych warunkach wprost niebezpieczny, jak posterunek żołnierza na wysuniętej placówce,—

zostaje obciążony nadto tragiczną odpowiedzialnością za swoje tragiczne położenie. Oczywisty—bo zło, które się już wyraża w rosnących cyfrach statystycznych, ma charakter klęski społecznej, a przyczyny każdej klęski społecznej mają zawsze naturę skomplikowaną i tkwią głębiej w życiu społecznym.

Nie oddalimy się też zapewne od prawdy, gdy wskażemy na szereg przyczyn następujących:

Brak silnej i zdrowej opinii publicznej, w szczególności obniżenie poczucia prawnego i wrażliwości moralnej w społeczeństwie;

w związku z tem — zdziczenie, lub conajmniej jakieś niedorozwinięcie, czy też przedwczesne stępienie moralne młodzieży, która po wojnie ze wszystkich sfer społecznych coraz większymi masami, ze względów przeważnie utylitarnych, napływa do szkoły średniej;

wobec tego znacznego zwiększenia liczebnego zastępów młodzieży szkolnej, a zarazem obniżenia

umysłowego i moralnego jej poziomu, ogromne utrudnienie i skomplikowanie obowiązków nauczycielskich;

niezmiernie przytem ciężkie powojenne położenie materialne nauczycieli, które im nie daje niezbędnej swobody umysłu i utrudnia rozwinięcie tak bardzo potrzebnej w danych warunkach najwyższej energii w twórczej pracy pedagogicznej, oraz tworzenie odpowiednio pogodnej atmosfery w szkole;

jednoczesne jakby obniżenie społecznego stanowiska nauczycieli — o których Andrzej Frycz-Modrzewski niegdyś mówił, że „jeno z królami, a biskupami przyrównani być mogą“ — a którym dziś brak niemal zupełnie należytego poparcia moralnego w opinii, zainteresowaniu, uznaniu, współpracy twórczej ze strony władz i społeczeństwa.

Powtarzające się zabójstwa i samobójstwa młodzieży są strasznym memento nie tylko dla rozważania przyczyn złego, ale i dla wstąpienia na drogi naprawy. Czas najwyższy!

M. H. SZPYRKÓWNA

ZANIM KLAMKA ZAPADNIE

Oświecicielki

Zanim jakakolwiek dorastająca dziewczynka obieże sobie swoje odrębne, fachowe powołanie, musi mieć jeszcze pewne podłoże ogólne, dla niej, jako dla kobiety, konieczne. Inżynierja na dalekich odludziach przewiduje dla swych słuchaczy i kurs lekarski—bo w braku doktora na miejscu, pierwszą pomoc musi nieść tenże inżynier, poprostu jako najświetlejszy człowiek danego zgromadzenia.

W takim samym położeniu jest kobieta. Otczenie jej aż nadto często bywa — odludziem. Odludziem pod względem kultury, odludziem ducha, odludziem myśli. A ona, pionierka pustkowi, musi nieść nieraz jedyną pomoc tym, z którymi zetknął ją los.

Naturalnie, pierwsze miejsce w działalności pionierskiej u nas w Polsce zajmuje oświata—bo na tym gruncie dopiero można szczepić dalsze, wyższe, kulturalniejsze zdobycze. I dlatego pierwszym zawodem każdej bez wyjątku kulturalnej kobiety u nas, poza jej naturalnym powołaniem, jakim jest macierzyństwo — byłaby niewątpliwie działalność oświatowa.

Nie myślę w tej chwili bynajmniej o nauczycielstwie. Nie! „Oświecicielką“ w najszerszym, najlepszym znaczeniu tego słowa, powinna być właśnie każda inteligentna jednostka, bez względu na jej fach. Ale tak się jakoś dzieje, że mężczyźni nie mają u nas na to—czasu. Nie mówię, oczywiście, o wyjątkach. Trudno by orzec, czy to istotnie brak czasu jest tego powo-

dem? Kobieta bodaj że nie ma go dużo więcej. Myślę, że jest to raczej zasługa niedźwiedzia, na ten raz—tradycji. Mężczyzna u nas, na przykład, nie bierze udziału w pielęgowaniu dziecka. W Ameryce i kilku innych krajach—bierze. I pokazuje się—ma na to czas! Z początku piastuje niemowlę z gracją goryla, kołyszącego swoje małe, i głowę zasadniczo umieszcza niżej od nóg. Ale po jakimś czasie wprawia się, i zdolności—zwłaszcza prosi ludzkie — mają po temu wcale niepowседневnie. Ale u nas jakoś to się dopiero teraz powolutku, wstydliwie i ukradkiem zaczyna objawiać. Już jakieś wózki w Alejach toczą przyzwoicie ubrani panowie. Już w wagonie kiedyś podróżowałam z przemiłym zresztą młodym oficerem, który miał lat dwadzieścia dwa i wiózł gdzieś na koniec świata własnego syna, który miał lat—dwa, ale już świetnie umiał obchodzić się z ojcowską szablą. Ojciec konwersował z nim z ożywieniem, pałac fajkę i puszczając kłęby dymu w najlepszej myśli, a malec kichał i tarł oczka, ale się nie usuwał. Licząc, że jechali z Poznania gdzieś pod Zaleszczyki, spróbowałam interwenjować, ze strachu, że maleńki podróżniczek przybędzie do matki uwędzony. Bezradne zdumienie i szczerza wdzięczność młodego praktykanta w fachu ojcowskim były zupełnie wspaniałe! Tymczasem amerykańkin umie doskonale przewinać, wykapać i nakarmić niemowlę odpowiednio spreparowanymi mączkami. Tradycja zdążyła do-

uczyć go już tam spraw, u nas jeszcze prawie nie napoczętych. Nie bez złośliwej uciechy dowiedziałam się, że magistrat u nas wprowadził kurs pielęgnowania niemowląt dla mężczyzn, i nawet dołączone było zdjęcie. Mieli wprawdzie na rękę i w wózkach przed sobą dzieci, ale też i miny mieli, jak Adam z noweli Marka Twain'a, kiedy Ewa kazała mu poraz pierwszy uściskać małego Kainka. Dużo więcej było w tem zdziwionego nowem zwierzątkiem domowem rozbawienia, niż ojcowskiej czułości.

Nie przesądzając więc, czy będzie, czy nie będzie mężczyzna miał czas w przyszłości na równoległą z kobietą działalność wychowawczą, wróćmy tymczasem do niej samej.

Nie wiem! Czy umiem sobie przypomnieć jakikolwiek dwór z czasów, kiedy byłam dzieckiem — jakkolwiek zaścianek — jakkolwiek zagrodę: gdzieby kobieta - oświecicielka nie sięgała swemi wpływami? U nas, na Białejrusi, kobiety i księża — były to naprawdę dwie ostoje, dwa przęsła mostu, po którym nad morzem ciemnoty i niedoli przechodziła z dworu do chaty oświata — taka, na jaką było tę ziemię stać. Zawsze, ile razy widzę moją babkę, matkę, ciotki, nawet — rezydentki dworskie, nawet jakieś niewiedzieć gdzie, jak i przez kogo nauczone czytać osoby bez wieku i urzędu, w spłowiących, jak jesienna ruń, mantylkach: widzę je zawsze z katechizmem i elementarzem! Widzę zawsze jakąś starą lipę w słonecznym podwórku, jakiś ocieniony ganek, jakiś pokój, wreszcie, pachnący miętą i staroświecczyzną: i gromadkę białogłowych dzieciaków dworskich lub wiejskich, które mozolnie, z trudem sylabizują zgłoski. Potem bywała wspólna, uroczyście szykowana spowiedź — biała i słoneczna pod brzożami kościoła komunja wypucowanych, opalonych, czerwonych, jak rumieniające się w słońcu poziomki, buziaków — rozdawane przez białe dłonie tym opalonym łapiętom medaliki, obrazki, książeczki, wstążeczki... Ach, oświata tam szła swoistymi drogami! Ale jeżeli szła — to kobiecie kresowej należy wystawić tam pomnik — Pomnik Nieznanej Kobiety, tak jak są pomniki Nieznanego Żołnierza. Bo nie była to kobieta ta, owa, czy dziesiąta, tylko wielka, zbiorowa, przedwieczna dusza kobieca, która uważa, że „w życiu trzeba naprzód iść i świecić“! Nie do wiary wprost jest, wiele może jedna, wcale nie tak specjalnie oświecona, nie tak specjalnie uspołeczniona, ale — prawdziwa kobieta z tradycją oświatową: zdziałać sama, z jednym starym elementarzem i jednym wyszarzałym od czasu „Złotym Ołtarzykiem“ zamiast wszelkich nauk i wszelkich pomocy! Wieś bez kobiety-oświecicielki posiadałaby dwa razy tyle dzikich zwierząt, co ma, bo połowę ich, i to tę gorszą, stanowiłoby ludzie. Ale czyż tylko wieś jest terenem pod względem oświaty?

Bynajmniej! Mam nawet osobiście przekonanie, że miasto dzisiejsze potrzebuje jej więcej, niż — dzisiejsza wieś. Miasto skupia dziś tak wielkie, tak ciemne pokłady warstw, już zarażonych złem cywilizacji, a jeszcze nie oświeconych jej dobrem: że staje się najpilniejszym terenem. Mam wrażenie, że z chwilą, gdy „Polska wybuchła“ — prywatna akcja oświatowa nieco się u nas obłuźniła: złożyła, by tak rzec, elementarz i książkę do nabożeństwa w godniejsze ręce. W ręce instytucyj powołanych. Błąd! Stokrotny błąd! Żadne instytucje, najpowołansze nawet, nie ujmą wszystkiego, co przez ręce prywatne codziennie przesuwają się — i na co tylko jednostka może skutecznie mieć wpływ. Toteż, jeżeli stoimy w kulturze na poziomie tym, co jesteśmy: jest to zasługa naszych zrzeszeń oświatowych, z Macierzą Polską, Tow. Szkoły Ludowej i Bibliotekami Ludowymi na czele, które w trzech zaborach podjęły Syzyfowy trud, gdzieindziej dźwigany przez państwo. I dziś, jak sądzę, długo go jeszcze nie złożą, przeciwnie! Więcej jeszcze potrzebują jednostek, zasilających ich ochotnicze, niosące oświatę, szeregi.

Naprzykład, co robi u nas sprawa oświaty służby domowej?

Zdaje się, że byłaby to pierwsza placówka dla kobiety w mieście. Dla każdej kobiety bez wyjątku, niezależnie od tego, czy jest z fachu nauczycielką, czy inżynierem, czy adwokatem! Jest przedewszystkiem — kobietą, odwieczną krzewicielką światła w każdym środowisku, gdziekolwiek ją rzucił los. A oto dzieje się tak szczególnie, że to najbliższe nas, miejskie nasze środowisko — leży odłogiem. Kaśka z niechlujnego czwartaka oficyny, czy też dystyngowana Frania z frontowych pięt — jednakowo są dla nas terenem nieznanym — a jeśli wiemy o nim to i owo, to raczej — wolałybyśmy nie wiedzieć. A te oto zarówno elegantki, jak kocmołuchy naszych kuchni i pokojów służbowych — są naszym najbliższym domownikiem! Tym, który czasem nas okrada i siedzi w kryminale, czasem — podrzuca pod parkanem nieślubne dziecko, czasem — jest zakaźnie chory i wstydzi się o tem powiedzieć. A zresztą się i boi, bo ją wyrzucimy. I którąż z nich starałyśmy się kiedykolwiek oświecić? Nauczyć czytać, jeśli czytać — co jest aż nazbyt częste — nie umie? Nauczyć czuć, mieć sumienie, być obywatelką kraju, który jej daje prawo głosowania? Cośmy zrobili — każdy i każda z nas — dla tych naszych najciemniejszych? A przecież mamy córki i synów, którzy są w szkole, którzy, gdyby chcieli poświęcić tylko pół godzinki dziennie, ba! co dwa dni — mogliby zapobiec wielkim tragedjom i niepowetowanemu złu, strzegącemu już upatrzoną zdobycz!

Kobiety-oświecicielki! Zapalcie kaganki najprzód po domach waszych!



M. CZERKAWSKA

ŻYWOTY

JABŁOŃ

Twarz kryjąc ślubnej swej zasłony rąbkiem
Aż poza konchę różowego ucha,
Patrzy na słońce, co złotym gołąbkim
Schylone nad nią, promieniście grucha.

Potem, jak pełna mądrości niewiasta,
Gdy okwiat pieśczoł miłosnych uleci,
Tajemną wiedzę przyszłości narasta,
Chowając smagłę, niezliczone dzieci.

Wreszcie po cierpkim wyrzeczeń okresie
Znużona nieco, lecz w piękności krasie
Z słodkim uśmiechem skarby swoje niesie
Cała w lnach lśniących, w listeczków atlasie.

Mocna i jędrna, łagodna i cicha,
Znająca urok bujnej dojrzałości,
Czeka, jak krzepka Piastowa Rzepicha,
Postrzyżyn dzieci i niebieskich gości.

GĘSTWINA

Gęstwina przyczajona, lubieżnie dysząca,
Skupiona w swej piękności, niepodatna skargom,
Objęta ramionami gorącego słońca,
Daje się słodko pieścić jego złotym wargom.

Przegina się przebiegle, słów miłosnych słucha,
Wilgny półmrokiem kryje jary i rozstaje...
Do połowy się nurza w światła ciepłych puchach
I tą tylko połową słońcu się oddaje.

Tam, gdzie lśni pleśń srebrzysta, mech siwy i próchno,
Zielska zielskom rzucają się, dusząc, na szyje;
Gdzie usycha liść każdy, gdzie topielce puchną —
Stoi nieprzenikniona, siebie nie odkryje.

Tryl szmaragdowy śmiechu, ptaszęce szczebioty,
Błache wyznania, małym powierzane listkom,
Czasem okrzyk jastrzębi w ekstazie pieśczoły,
Czasem dreszcz bez powodu — to wszystko, to wszystko.

A gdy słońce odejdzie — gęstwina się chowa,
Zatapia w nieprzejrzaność własnej tajemnicy...
Zaś nad nią się pojawia... kto? ...groźny Jehowa,
Czy bez miary litosny Bóg jawno grzesznicy?

LESZCZYNA

Gdy w górze harda, dumna buku głowa
Złoto - niebieską światłością przesiąka,
Pokorna, łaszcząc się u twardych kolan,
Miłośnie smagłe przegina ramionka.

I stojąc w cieniu opornym olbrzyma,
Raz wraz za wiatrem w pień leciutko puka
Piąstkę słabiutką, która echa nie ma
W surowem wnętrzu wyniosłego buku.

Więc cichnie rondo miłosne gałązek,
Idąc odchylen drogą nieomylną...
A cień zwycięski tężeje i rośnie,
Wzmaga się, piętury i dusi bezsilną.



MIŁOSZ GEMBARZEWSKI

UBOGI KREWNY

(nowela)

Stać się to musiało, jako zdarzenie od lat przewidywane i oczekiwane. Pan Franciszek Działosza, stolnik trembowelski, starosta taborowski, dziedzic dóbr Łyczkowa, miał świetnością swej postaci i bogactwem zachwycić szare mazowieckie miasteczko Błonie, gdzie zdawna zamieszkiwał pan Andrzej Wojciech dwóch imion Działosza, z tego samego gniazda się wywodzący, co antecesorzy pana Franciszka.

O ile jednak niepozorne siedlisko Błonie było dla wielmożnego starosty taborowskiego jedynie chwilowym postojem w podróży na sejm warszawski, to dla jegomości pana Andrzeja błońskie chatyny, rumowiska, śmietniki i błoto były miejscem stałego zamieszkania.

Tak. Bo roku pańskiego tysięcznego siedmsetnego trzydziestego dziewiątego pan Andrzej popełnił „ab usum nobilitatis“ i od tego czasu zwano go: „sławetnym...“ został obywatelem miasta Błonia, gdzie nabył kawałek gruntu i nędzne domostwo; nie mieszkał tam jednak samotnie, bo z żoną i z komornikiem, zwyczajnym famosus—sławetnym, podobnie, jak sławetną z pochodzenia była pani Regina Działoszyna, de domo Krupieńska, często wymawiająca potulnemu małżonkowi swe „sieroctwo“ i pustelnicstwo—bezdzielnosc.

— Chciałoby ci się,—zawodziła rzewliwie—pałacu i w senacie placu, pola i obola. Nic nie masz. Nie chcesz mieć! Ani syn, ani wnuk, bo ich niema, tego nie zdobędą... nie!

Milczał pan Andrzej Działosza.

Nagły szcęk naczyń kuchennych i głos już podniesiony, a tnący:—Było mnie innego brać, a nie takiego „pana“ chudoszczapę! Dogadać się z nim nie można!

Przez otwarte okno, z poza czerwonych pelargonij spojrzał sławetny Gołąb, komornik.

— Nie wydziwiającie. A patrzcie ino, jak od Sochaczewa na Paprotnię jadzie do Warszawy wasz krewny, czy brat... No ten, co to u starosty sochaczewskiego powinowaty.

— A ty może idź obaczyć tego krewniaka twojego—mruknęła z przekąsem pani Regina, z ukosa spojrzawszy na swego zabiedzonego męża.

Wyszedł sławetny Działosza; nie żeby kuzynowi czapkować; chciał tylko wśród ciągłych ukorzeń przyziemnego żywota zobaczyć barwy i blaski, rozjaśniające spochmurniałe troską oczy, każące ustom się uśmiechać, a karkowi nie zginać. Czy Andrzej Działosza chciał mieć syna? — Nie. Wprawdzie w jego spadkobiercy mogły kielkować jakieś z dziadów po mieczu przejęte uczucia, ale przemożne okoliczności

życia wśród małych i marnych, jednych paczą, innych unicestwiają; z bryły, która po paru mistrzowskich pociągnięciach dłutem przyjaznych wydarzeń byłaby cudnym posągiem—czynią okaleczałe dziwadło.

Przeszedłszy z pół wiorsty monotonnej równiny, ciągnącej się za miasteczkiem, w tej odległości od grodu, o zamieszkiwanie w którym nie chciał być posiadaczem—wsparł się pan Andrzej na resztkach płotu, otaczającego niedawne zgorzelisko domostwa sławetnego Dobrosławskiego, i przysłonięty wierzbiną, jał wpatrywać się w trakt, wiodący od Sochaczewa, a rój myśli, kłusujących smutkiem, przywarł do rasowej czaszki starego „mieszczana.“

Naprzód: samo nazwisko — Dobrosławski... Roku Pańskiego tysięcznego siedemsetnego siedemdziesiątego piątego zjawilo się wszem wobec i każdemu z osobna podane do wiadomości obwieszczenie: „Warunek prerogatywy Stanu szlacheckiego Dobrosławskich,“ w którym stwierdzono, jako noszący to nazwisko są niewątpliwą szlachcią, po najeżdżczych inkursjach podupadłą i zmuszoną do popełnienia ab usum nobilitatis, z powodu zajmowania się w grodzie niegodnym szlachcica rzemiosłem—kwartą i łokciem.

Wkrótce po tem wydarzeniu, które zbudziło w skromnym panu Andrzeju Działoszy dziwne nadzieje, skończyli urodzeni Dobrosławscy proces o spadkową fortunę i już jako utytułowani posesjonaci, sięgnęli nawet po tytuły powiatowych dostojników. Zwyciężyli. Znów byli sobą.

W tej chwili na zakręcie drogi ukazali się nieco podchmieleni sławetni: Baltazar i Melchior, członkowie magistratu błońskiego. Obrzucali się stekiem przezwiszki. Prawe łyki.

— Łiesz sromotnie! — krzyczał spectabilis Baltazar, wytrząsając kułakiem przed fioletowym nosem honestusa Melchiora.—Publice ci zadawam!

— Każdy uczciwy wie, co u niego doma się dzieje, a jeśli ci zacna jejmość nie powie, to ja powtarzam...

— Milcz! a to na wieży będziesz swoje powtarzał!

Żwawe gesty i już nie słowa, ale chrapliwe bulgotanie i pomruki nie pozwoliły mimowolnemu słuchaczowi dowiedzieć się o istocie sporu, w którym tak przeważną rolę grała imość pani Baltazarowa.

Nie odrazu, ale współczucie i przedziwna świadomość pokrewności sarmackiej przenikła Andrzeja Działoszę. Honestus i chłop-laboriosus stanowili też część Rzeczypospolitej, a jej małżonek, Król Jegomość, był także ich ojcem. Gdybyż, jako wolni z wolnymi, równi z równymi, sprzymierzili się przeciw obcym potencjom w rodzinnem kole, czyniąc sobie naj-

serdeczniejsze zwierzenia, wspomagali się braterską radą, jak na równych braci przystało!

— Ha! ha! ha! — zagruchotał już zdaleka śmiech sławetnych Melchiora i Baltazara.

— Niech nas ślachcic rozsądzi.

— Panie Działosza! kubrak na plecach, a podszewka karmazynowa! ha! ha! ha!...

Tonęli w drwiącym chichocie, w pyle i w krzakach wikliny, gdzie długo dźwięczały brutalne wyzwiska, póki zmęczeniu nie umilkli, przegrążając już tylko, i to nie sobie, ale imć Andrzejowi-Wojciechowi który w owej chwili, dla nich niedosłyszalnie, szeptał z modlitewnym przejęciem:—Bądźmy wszyscy braćmi!

Jedną z najtrudniejszych spraw żywota jest pomaganie głupim! Przecież nie o wdzięczność chodzi, ale o rozkosz rzucenia pokarmu w tłumy zgłodniałe! Najbiedniejsi są chyba ci, co nie wiedzą, że wolno im łaknąć szczęścia, o którym nie słyszeli na tym świecie, gdzie wszechwładna Zazdrość jest wirem, obracającym męty, przesłaniające jasne tonie.

W nędznym miasteczku Błoniu ileż ślepej i głuchej miernoty cisnęło się przed badawcze, smutne oczy pana Andrzeja Działoszy!

„My zacie sławetni burmistrz, rada, obywatele i pospólstwo miasta Błonia, przez niezwyceżonych królów polskich przywilejami obdarzonego...” Ale w chwilach najważniejszych postanowień, gdy dzwonek pedela obwieszczał uroczyste silentium, wypychano „pospólstwo” „na ustęp”, i przedstawiciele gminu nie troszczyli się o głosy jazgotliwe, przebijające ratuszowe podwoje.

Wczoraj jeszcze—przypomniał sobie pan Działosza—ubawiło się miasteczko sprawą sławetnych Samolewiczów i Titurowiczów, jako że pani Titurowiczowa, okazawszy się zwolenniczką samorządu, została rozbrojoną przez zanego Czubowicza, ten zaś, z kolei zelżony przez imci Samolewicza, nie był mu dłużnym i, jak głosiło opisanie urzędowe zajścia: „...Wszyscy czworo na ziem się przewalili, tarמושąc się, i tak ich straż miejska zastała...” Szare życie! Jedyną rozmaitością w niem, to ordynaryjne wybryki pijanych i grubjanów.

Pani Bęcalowa, „zasiadająca wieżę”; pan Świątek, alias Świątkowski, który, „wieżę” samowolnie opuściwszy, przeciw magistratowi „bluźnił”... ludzie i rzeczy z Błonia błońskie są w tej chwili ogromnie dalekiemi dla jego mości Andrzeja Działoszy, bo on ma teraz przed oczami tylko ten monotony, równinny krajobraz, mający być tłem dla upragnionego zjawiska. Wszakże pan stolnik trembowelski nieledwie rok rocznie odwiedzał swego serdecznego przyjaciela, pana starostę sochaczewskiego, a pan Andrzej-Wojciech

poraz pierwszy zapragnął ujrzeć tego dziedzica-krewniaka. Tymczasem, na bezbarwnej prawie równinie, gdzie, jako późną jesienią, zamierały barwy, zlewając się w jedną szarzyznę, stały tylko wierzby rosochate na trakcie ku Ożarowu; legły ospale niepoorane ścierńska, rozchodziły się ku opustoszałemu brzozowemu gaikowi krecie rozkopaliny po kartoflach, na dalekim półokręgu łączące się gdzieniegdzie włóknami mgieł z chmurzystemi łachmankami. Było pusto.

— Ale, gdyby tu był i tłum, mnie — byłoby też pusto—pomyślał oczekujący szaraczek.—Mnie byłoby też pusto.

Jakgdyby dla rozerwania snującej się nici tych rozmyślań—chropowaty, oschły, ironiczny głos starej kobiety uderzył pana Działoszę.

— Czekaj, czekaj! Do sądneho dnia czekaj! Tak. Żeby ci od tego koła błotem rzucił! Żeby ci... O ja nieszczęśliwa! — dychawiczne zatchnięcie w gardle i znów zgrzytliwie bijące słowa: — Zginiesz, a mnie i dziecka na pociechę nie będzie! Nie. Bodajś...

— Mojemu synowi nie stawać tak na drodze, przy rowie. Jakby miał być, to inaczej by żył... inny!...

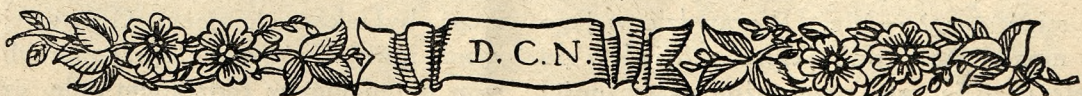
— Bodaj był do ciebie niepodobny! Mazgaju!

Targnięcie wspierającą rozum kolumną ambicji. O, syn z urodzonych urodzonego Andrzeja-Wojciecha Działoszy, ongi dziedzica Łukawej w sandomierskiem pod Staszowem, musiałby być podobny do znacznych dziadów! Lew złoty w niebieskiem polu, zionący z paszczy płomieniami! herbowylew nie zmruży hardych ślepiów... ze wstydu za poniewierających sławne imię!

— Da ci twój krewny... — pani Regina zamilkła tak nagle, że małżonek spojrział na nią bacznie, a widząc jej wzrok, utkwiony w jednym kierunku, również tam oczy zwrócił, w momencie, gdy żona, prawie mdlejąc, osunęła się za krzak wikliny, by po chwili znów, już mrokiem i gałęźmi okryta, poglądać ku drodze od Sochaczewa.

Gościńcem jechał bogaty krewny.

Ach wy, biedni i szarzy! Widzieliście kiedy, „szym,” w sześć koni jadącego dziedzica? Dziesięć pojazdów: karety, brożki, rydwany, z szkarłatnemi poponami i wyłoczonemi lewkami; białe, cienkonogie woźniki — cugowe, z farbowanemi na czerwono grzywami i ogonami; wozy rezydentów, kredensowych, piwnicznych—poprzedzone oddziałem nadwornych węgrów, muzyką i myśliwstwem; arjergarda błękitnych dragonów i—beztroska, wyłaniająca się z oznak chwającego starożytność familji przepychu barw i blaszków. (A może i woni dziwnej, romantycznej, durzącej, bo w onej chwili coś, niby nic, ot... wrażenie... ujęło Andrzeja Działoszę za zwężone gardło i napaśtliwie dzierżyło: patrz, a nie szlochaj!)



WANDA BORUDZKA

WĘDRÓWKA Z WIATREM

Z cyklu „Kurz na oliwkach“

Juljanowi Wołoszynowskiemu poświęcam.

— Ludzie dobrzy, nie widzieliście krowy? Łaciata, rogi krótkie...

Trzeci już dzień tę samą jękliwą śpiewkę rozdzwaniam po polach. Ludzie trzęsą głowami, ramionami ruszają, nie widzieli, nie wiedza.

Szyny słuchają i biegną dalej, do stacji. Druty telegraficzne coś zagadały porcelanowym kubeczkom. Wiatr jeży listki piołunów i mlecza. Chmury gęstnieją, to rzedną. Zagajniki oliwek nie wiedzą srebrzyć się, czy zielenić: to kwiecień. Deszcz wie, że padać trzeba napewno. Kamyki—że bosym stopom należy się uwieranie. Ja nie wiem już nic.

Kłęsko łaciata, latawico bezroga, przez twoje to głupie uciekinierskie fantazje kołuję teraz po polach. Z płachtą na głowie od deszczu, z chlebem w kieszeni od głodu, włóczyć się muszę od stada do stada, ludzkie uszy namulać tem samem. Ciągle przeć w niewiadomym kierunku, nachodzić cudze podwórza, strachu babom napędzać, że im to coś uprzykrzone — tylko patrzeć, jak zwędzi ostatniego obskubańca-kurczaka!

I czemże cię będę tropiła, powsinogo nieszczęsna?

Mam to słuch wyostrzony na każde trawo o trawo otarcie, wzrok, bystrością krający przestrzenie, węch, jak płytę wrażliwą na trącenie najłżejszego zapachu, albo instykt, co nie wiedząc o niczem, wie wszystko?

Cóż mi całe to pole upartego w bujności jęczmienia, koniczyny przemyślnej, nieznanomych, a mądrych złociuszków, którym Bóg tylko wie, jak na imię?

Niewiadome mi są jego sprawy.

Głupsza jestem od tej myszy najlichszej, w zastrachaniu czującej kierunek niezdarnych podskoków; miękko-szerstnego sasanka, co od ziemi wilgoci i ciepła odbiera nakaz rozkwitu; wody w strumieniu, dziś szarej od nieba, jutro może błękitnej, pojutrze zielonej...

Do domu swego należę.

Zawsze dom. Jak nie tamten, to inny. Od mięsiący już szereg dymem nakrytych kominów, salonik z gramofonową trąbą i ciasna kuchenka są, muszą być domem.

Cóż się dzieje w tym domu? Nitki cienkie odwijają się z serca, jak z kłębka. Wszystkie końce ich są przywiązane—ten do tej sprawy, tamten znowu do innej. Czy zmienili serwetkę na pół miarki kartofli? Chleb czy wzięty w ogonku? Czy fasola namoczona wieczora, żeby mniej poszło węgla? A dzieci? Stworzenia te nierozumne, czy znów aby nie umyśliły urządzenia konkursu na zjadanie liści?

Z ciasnych spraw, niby drobnych komórek wojszczyzny, ulepiło się życie. Zamiast miodnej sytości—pełno w każdej z nich krzywdy gorzkiego odwaru. Ach, tembardziej być przy nich, nie ruszyć się krokiem, biedom wszystkim dać się osaczyć, żeby zewrzeć się w sobie, przetrzymać, odepchnąć! Dniom nadać sens, przebrnąć rażno godziny, wszystko złe w jutro odsunąć, przed dziś, szczerząc zębiska, mocno w ziemię się wkopać, postawić...

Nie pomoże wytężenie protestu. Ileś tam mil płachty szarozielonej dzieli mnie od powrotu. Drobna jest miarka kroku ludzkiego, a nią tylko wolno mi przestrzeń odmierzać. Zagadkowa jest skala przypadku, co wtrącił w codzienność bezsensowną wędrówkę.

Już nie mogę. Zaplątały się kroki. Zmiękły nagle kolana. Napotkanej oliwki miłosierdzie niech będzie podwójne: pień sprężysty — oparcie pod plecy, srebrnych liści trzęsionka — zasłona od deszczu. Miły dłoniom omdlałym popielaty plusz szałwji. Wyprężonej postaci — dobroczynne skulenie. Zmordowanym zrenicom—miękki ciężar powieki.

Ciepły deszcz się przylepił do ramion, łyzy ciepło do twarzy. Dobrze jest leżeć na samem dnie umęczenia.

Ale oto w następnym ułamku godziny wiatr rozkaz odebrał: — dmij mocniej! Chmury pomknęły kłusem; więc zawahał się deszcz: — może przestać? Zrozumiałam, to znaczy:—idź dalej.

Mięśnie, znowu gotowe do usług, zagrały pod skórą. Chleb i płachtę, zbyteczne balasty, zostawiam gościnnej oliwce. Już niczego nie szukam. Odnalazłam swój szlak: wąską dróżkę przy torze.

Razem teraz idziemy: chmury górą, wiatr dołem, szyny środkiem, a słupy bokami.

Słupy kroki stawiają największe i grają.

Druty biegną najprędzej i dzwonią.

Wiatr pomaga nam wszystkim, ale mnie najgorliwiej: włosy skręcił w dmuchawce, zrobił żagiel z fartuszką i steruje krokami. Już nie myślę, skąd wyszłam i dokąd tak idę. Ani nawet skąd wyszliśmy, dokąd idziemy.

Byle tylko to jedno: nie wracać.

Byle tylko to drugie: nie pytać.

I to trzecie—nie wiedzieć o niczem.

Dziś wróciłam, spytałam i wiem: *wędrowaniem jest żywot człowieka.*

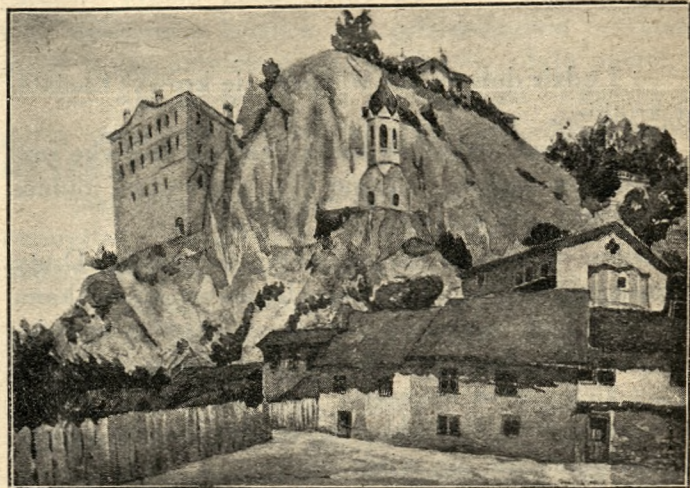
STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW

MIASTO FATA MORGANY

Był pierwszy dzień Wielkanocy, pięć lat temu, kiedyśmy przyjechali do Filipopola. Wycieczka polskiego nauczycielstwa, podejmowana istic po królewsku przez biedny, zrujnowany po wojnie, przeżarty wewnętrznymi rozterkami, ale serdeczny i gościnnie naród bułgarski. Jeszcze dziś czuję aroniat tych fiołków, którymi obrzucano nas, kiedyśmy przechodzili ulicami miasta. Na dworcu—wzruszający dowód pamięci o naszych obyczajach narodowych: prawdziwe polskie święcone. Nie brakło nawet babek i pisanek.

Pogoda była cicha, ciepła, przesycona słonecznym złotem. Zbiorowa włóczęga po mieście, pełnem nagłych kontrastów w terenie i charakterze budynków, działała podniecająco. Za każdym węglem czekało się na jakąś niespodziankę. Ukazała się niezawodnie, jakby wstawiona umyślnie w program wycieczki. Z nowych, banalnych ulic przedostaliśmy się rychło w samo serce miasta, do którego wiodło biblijne „ucho igielne“: sklepiona brama w starym, jeszcze krzepkim murze rzymskim. Tędy szły ongi karawany z cennym ładunkiem tkanin i wonności od wspaniałego Bizancjum na daleką, mroczną północ. Dzisiaj pod tą samą bramą przechodziła szara gromada podróżnych, ruchliwa, ćwierkająca i wesola, jak stado wróbli. Goście z północy przywieźli z sobą cenny ładunek pogody, humoru, wiary w życie i dzielili się nim po bratersku z bułgarskimi gospodarzami.

Wprowadzono nas do starego greckiego domu. Była to zapewne kiedyś siedziba jakiejś możnej rodziny miejskiego patrycjatu, ale o dawnej świetności świadczył tylko w niskiej sali na pierwszym piętrze przesłiczny pułap, kunsztownie rzeźbiony w cedrowem



Jak wyglądał Filipopol (Płowdziw) przed trzęsieniem ziemi

drzewie. Cichy, niezamącony firmament, patrzący temi samemi konstelacjami mętnych gwiazd na zmienny pochod ludzi i wieków. Zresztą ściany były odrapane, ordynarnie wybielone, jak chałupa, a zza drobnych drzewiczek niezliczonych alkierzy i bokówek dochodził płacz dziecinny. Stary bezpański dom był bowiem oddany na schronisko dla uchodźców macedońskich. Czasem przez tłum podróżnych przewionęła jakaś postać niewieścia, wstydliwie otulona chustami, i rozplywała się bezszelestnie w mroku sieni, jak widmo.

Podeszłam do zakratowanego okna, które wychodziło na mały placzyk — puhar, nalany winem słońca po wręby spleśniałych murów. Suchotnicze drzewo, nieznanego mi imienia, pięło się pochyło wzdłuż ściany i powiewało przyjaźnie—tuż, tuż za kratą—kitką blado-zielonych listeczków. Wyciągnawszy rękę, można było pieścić gałązki puszyste, jak warokcze dziewczęce. Ale przyciągnąć ich do ust nie było można. Pod drzewem stała ławka kamienna, archaicznego kształtu, jakby przeniesiona z włoskiego ogrodu. Podobną ławkę widziałam w Weronie. I naraż pod przymkniętymi powiekami urodził się obraz: księżyc, noc, duszna od kwiatów wiosennych i cerkiewnego kadzidla; młodzieńcza postać pnie się ku górze po giętkiej łożie, a za kratą zjawisko w czerni, z twarzą srebrną od księżycy, nieruchome, hieratyczne, jak bizantyjska ikona. Odwieczna historia Romea i Julji, rzucona na tło Filipopola.

* * *

Filipopol (po bułgarsku Płowdziw) jest miastem, rozrzuconem malowniczo po pagórkach i urwiskach, wyrastających niespodzianie ponad powierzchnię zół-



Z widoków Bułgarii: Wybrzeże morskie



Jeden ze zrujnowanych domów w miasteczku Czyrpan

temi garbami nagiej opoki. Na skałach rozsiadły się pękate kopuły cerkwi, strzelały w błękit białe trzony minaretów. Krzywe lepianki tuliły się do zboczy, jak gniazda jaskółcze. Wymykały się z nich na nasze spotkanie chude, mizerne dzieci—czarne, nastroszone pisklęta.

Z maleńkiego ogródka, którego drzewa cudem jakimś i mocą własnych korzeni trzymały się nad przepaścią, rzuciliśmy okiem w dół. Pod welonem świetlistego oparu śniło wiosenny sen miasto z bajki: mozaika szkatulek z kości słoniowej, z których każda nakryta była płaskim koralowem wieczkiem z karbowanej dachówki.

Wyglądało to tak, jakgdyby bogowie Olimpu na chwilę przerwali grę w kości. Rzucili je i pilnie liczą oczka. Hefajstos przegrał. W ponurem milczeniu wraca do piekieł.

— To nic,—myśli,—odegram się znowu.

Minęło pięć lat. Tym razem bóg podziemny potrząsnął kubkiem z kośćmi domów. Cisnął nimi wściekle, aż rozpadły się w gruzy.

Dzisiaj ta cała dolna dzielnica miasta, którą podziwialiśmy z lotu ptaka, nie istnieje.

Rozwiała się w nicość, jak fata morgana. Jedna z najstraszniejszych plag świata: trzęsienie ziemi—powiała nad tym krajem chorągwią nieszczęścia. Rozmiary kłęski w Filipopolu i okolicach są poprostu

potworne. Sto tysięcy ludzi obozuje pod gołym niebem, na zimnie i ulewie, która zlała się, jak dopełnienie potopu niedoli, na bezdomnych rozbitków. Wśród tych udezarzy rozgrywają się co chwila sceny rozdzierające. Mnóstwo ludzi popadło w obłąkanie. Masowa panika ogarnęła tłumy, nie wiedzące, gdzie ujść przed groźną ciągle katastrofą.

Głód, zaraza, rozpacz szczerzą do nich swe trupie czaszki. Żadne serce ludzkie, serce prawdziwie chrześcijańskie, nie może zostać nieczułym wobec tej zbiorowej niedoli. Pierwsza z pomocą pośpieszyła Stolica Apostolska, Amerykański Czerwony Krzyż, Polski Czerwony Krzyż. Niewątpliwie napływać zaczęła pieniądze z całego świata. Polska nie może zostać na uboczu w tym pochodzie miłosierdzia. Chodzi przecież o naród bratni, naród słowiański, który wieki całe jęczał pod jarzmem obcem, o teraz zaledwie z trudem zaczął goić rany, poniesione w wielkiej wojnie.

Wierni pamięci Warneńczyka, który poległ na ziemi bułgarskiej, pomni tradycji naszych walk, która kazała nam ginąć „za wolność naszą i waszą”—prze-transponujmy dziś to hasło na odmienny nieco ton:

Nie dajmy braciom naszym ginąć śmiercią głodową!

Pieniądze dla ofiar trzęsienia ziemi w Bułgarii należy składać do wydziału ofiar „Kurjera Warszawskiego”. Dary w naturze — do Komitetu Pomocy Dzieciom, Jasna 11.



Mieszkańcy obozujący pod gołym niebem



ZYGMUNT KNOTHÉ

IMPRESJE KOŚCIELNE

W romańskim klasztorze

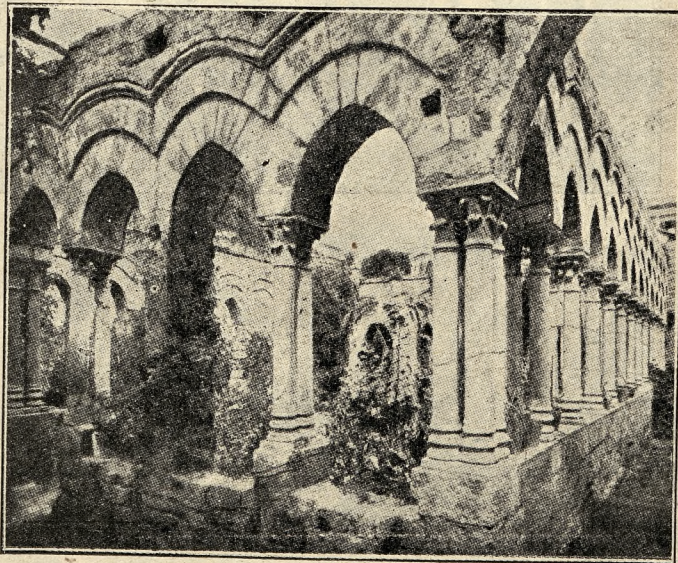
Uciec... Od zgiełku i trudu życia, od krwawego rycerskiego rzemiosła, od mozolnego warsztatu pracy Uciec z zaduchu ciasnego miasta i z łańców, nieogarniętych okiem. Uciec od złudnego przepychu doczesnej potęgi, od pokus krótkotrwałych zaszczytów, od barwnego kalejdoskopu życia dworskiego. Uciec od lasów, szumiących tajemniczo echemi kultów pogańskich i echemi zbrodni. Od wspaniałości zamków feudalnych i od lepianek, przesiąkniętych wonią urodzajnej ziemi, wonią życia, tętniącą zmysłową pożądlivością. Uciec od pęt miłości ziemskiej, od kajdanów cielesności potępionej, od znikomości rzeczy ludzkich.

A wzamian pograć się w ciszy wszechświatnej, w spokoju najwyższym; zgłębić otchłań własnej duszy, wybiec duchem i sercem poza granice znanego świata. Rzucić wszystko, co było dotąd treścią życia, i iść za głosem, wołającym w duszy—głosem, wyprowadzającym z niziny ludzkich spraw na poziom wyższy, o całe wieki życia wyprzedzający współbraci.

Ogarnąć okiem niezmierzone horyzonty spraw świata, zrozumieć przyczynę i cel istnienia i zobaczyć przemądrą Myśl, rządzącą wszechświatem. Ukorzyć się przed Bogiem—Twórcą i Duszą wszystkiego. Oddać Mu siebie, swą myśl i uczucie — oddać się całkowicie, na wieki. Umiłować Go, jak się nic ludzkiego nie miłuje: miłością najwyższą, nieskończoną, od wieków istniejącą i wieki trwać mającą. Rozpłynąć się, stopić w tej Miłości i trwać tak wiecznie...

* * *

Minął rok tysięczny, zapowiadający koniec istnienia naszej ziemi. Minął spokojnie, a słońce, jak daw-



Krużgankę romańską



Krużgankę romańską

niej, świeciło swą zwykłą jasnością i ogrzewało ziemię. Jak dawniej gwiazdy lśniły nocą na firmamencie; jak dawniej, przyroda rozwijała się z wiosną, kwitły drzewa, śpiewały ptaki. Więc świat istnieje. Dobry Bóg pozwolił jeszcze drugi tysiąc lat, a może i dłużej, rozwijać się ludzkiemu plemieniu, ku pożytkowi własnemu i Swojej chwale.

Niezmierną miłością zapalały serca. Ku Bogu poderwały się dusze. Przedziwną łaską tknięci, rzucali ludzie swój dobytek i uciekali w ciszę i spokój, by w modlitwie się pograć i korzyć przed Stwórcą.

Powstają rozliczne zakony świętobliwych braci, budują się rozliczne klasztory, w których zamieszkują. Najprzód w skupieniu przetrwać czas jakiś, zerwać wszystkie ziemskie pęta i utrwalić się w nowej, boskiej służbie, — a potem całe swe życie, aż po dzień, gdy Pan Najwyższy zechce powołać z ziemskiego padółu do Siebie, aż po ten dzień pełnić nieustanną, pokorną służbę Bożą.

W Jego imię budować domy boże, w Jego imię przyozdabiać je, w Jego imię iść między ludzi z pomocą, pociechą; nawracać niewiernych i podtrzymywać, a rozpalać wiarę w tych, co są jeszcze słabi. W Jego imię spisywać dzieje świata, studjować wiedzę, zgłębiać nauki. Wszystko dla Niego i tylko dla Niego: każda myśl, każde nowopowstające dzieło sztuki, każde tchnienie, każdy czyn.

A sztuka wtedy opanowuje trudności techniczne, materiał staje się posłusznym w ręku mistrzów, daje się ulepić w formy dowolne.

Czy to w architekturze, czy w rzeźbie, czy w malarstwie freskowym, czy w złotnictwie—człowiek prze-

prowadza swą myśl, tworzy pomysły coraz bogatsze, coraz trudniejsze, coraz piękniejsze. Z klasztorów wychodzi na świat sztuka, nazwana po wiekach—romańską. W ciszy cel klasztornych powstawały arcydziełamodlitewniki, latami całemi pisane, w pyszną ornamentykę zdobne. Nieraz całe jedno życie zakonne poszło na spisanie i ozdobienie kart pergaminowych takiej książki.

Latami wykuwano w złocie misterne ornamenty na trybularzach, kielichach, oprawach biblii. Rzeźbiono pastorały, berła i monarsze korony. W prochu legły dumne głowy, na których miarę korony kuto, a korony trwają po dziś. O znikomości życia doczesnego świadczą.

Latami malowano obrazy religijne na ścianach kościołów, refektarzy. Rzeźbiono świętych w kamieniu i drzewie; całe sceny Męki Pańskiej odtwarzano. Bez pośpiechu, powoli, z modlitwą na ustach, z jasnością w sercu wykuwano wizerunki Bożego Syna. Nie dla zarobku, nie dla sławy świeckiej, a ku chwale Bożej, prześcigano się, by lepiej, ładniej, ozdobniej wykonać swą pracę. Przedziwny spokój cechuje dzieła tej epoki; powaga, majestat, spokojna, silna, pewna wiara. I, jak chcieli, poginęli w ludzkiej pamięci twórcy rozlicznych arcydzieł, a twory ich rąk przetrwały wieki.

Nie cały świat był klasztorem: płynęło za jego murami życie inne, świeckie. Wtargało ono czasem echem bitwy, czy łuną pożaru w ciszę świętobliwego

życia zakonnego. Czasem szczękały podkowy na kamiennych dziedzińcu, czasem rozbrzmiewał kościół dźwiękiem zbroic, gdy rycerstwo przybywało kając się za grzechy. Płynęło w miastach płyciutkie, swarliwe, skłopotane życie mieszczańskie i po wsiach — ciemne, dzikie, pełne zabobonów życie chłopków.

Wszystkich ich trzeba było ukochać w imię Boga.

Jakim spokojnym, zacisznym portem był dla ducha, wznoszącego się ponad wszystkie ważne błahostki, kończące się ze śmiercią jednostki—klasztor! Z celami o oknach trójdziałowych, za którymi leżał piękny krajobraz, lub drzewo swe gałęzie zwieszało; z kruczkami, o dachu na kolumienkach, lub słupach rzeźbionych wspartym, co obiegał wokoło ogródek wypielęgnowany. Panowała tam święta cisza, i myśl mogła płynąć wysoko. Nie potępiano ziemskich braci, wybaczano im ich ułomności, ich człowieczeństwo prymitywne. Sąd zostawiano Bogu. Dla ludzi miano słowa przebaczenia i miłości.

Romański klasztor przetrwał wieki, zachowując wspaniały, silny, mocny duch chrześcijański, ożywiający jego twórców i mieszkańców. Świadczy po dziś dzień o sile wiary i serca. Błąka się po kruczkach i celach, często w ruinie leżących, po zarosłym zieliskiem ogródku, po dziedzińcu; spływa z cieniem murów kościelnych, uśmiecha się z błękitu nieba nad poczerńniętymi, szczerbatymi murami zawieszzonego — duch miłości, spokoju, przebaczenia.

STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW

POEMAT O ZIEMI*)

Książka nosi tytuł „Dziewczyna z zimorodkiem“, ale prawdziwą i jedyną jej bohaterką jest ziemia. Ona to pękiem białych przyłasczek budzi podświadome pragnienia i sny w rodzinie Grażelów („matka delikatnie przebierała palcami po kołdrze, jakby pełła uważnie mięciuteńkie zagonki; ojciec marszczył się i zaciskał lewą powiekę — polował“; a na małego Adasia „aż do rana sypały się z sufitu niebieskie płateczki“). Z nią zawiera mistyczne zaślubiny nawpół zmaizniony chłopak, gubiąc w śniegu pierścień rodziny. Ona to kusi starego pana Benedykta żądzą posiadania, grodzienia płotu, który „widnieje jak mały, biały ślad ukąszenia śpiczastych dziecinnych ząbków na obnażonej piersi wielkoludziej“, budowania domu z drzewa, „wszystkimi włóknami tajemnie związanego z ziemią“.

Na jej przemożny zew nie wszystkie osoby powieści reagują jednakowo. Najszybciej, bez walk, zwątpień i błąkania się w ciemnościach zrasta się

z macierzą pani Nata Grażelowa. Czy dlatego, że była z domu Piasczyńska i że w jej rękach szeptała krew „wszystkich kobiet, wtajemniczonych w spalający płomień i w gryzący dyń domowego ogniska“? Czy dlatego, że „była, jak kit, który wszystko spaja, jak cement, który wszystko trzyma“? Czy dlatego, że „razem z jędrnymi grzybami marynuje cząsteczki duszy“? Dość, że życie jej „jest jak ogród: kwitnie, aby owocowało. Owocuje nie dla siebie. A potem zostają tylko puste, suche gałęzie i puste, zryte grzędy“.

Pani Nata nie umiera, ale dobrotliwie wsiąka w ziemię, wiedząc, że nigdy nie przestanie zabiegać, krzątać się, pracować. „Albowiem — niema kamienia, niema rośliny, zwierzęcia i człowieka, niema słońca

*) Ewa Szelburg: „Dziewczyna z zimorodkiem“ — powieść. Warszawa, MCMXXVIII. Kraków. Wydawnictwo J. Morkowicza-Two Wydawnicze w Warszawie.

i ziemi, niema życia i śmierci: jest tylko serce kobiece, pełne maluszków, najmniejszych spraw, które są największą i jedynie prawdziwą Sprawą“.

W świetle tej Sprawy pracowicie drepzczący, przyziemny żywot zatroskanej kobieciny urasta do miary uniwersalnej. Świat, który ona zamyka w słoiku, jest niezmiennym światem tych rzesz kobiecych, które przed nią były i po niej przyjdą, aby zamieszkać ostatecznie w Wieczystym Domu poświęconej ziemi. Jabłonka, posadzona na jej grobie, przyjmuje się i rodzi jędrne, czerwone jabłka, nabrzmiałe sokiem jej życia, podobnie jak przedtem młode prosiaki obrastały w słoninę, pęczniały jarzyny na grzędach, nabierały mlekiem wymiona krów — kosztem jej zmarzszerek, wychudzenia i siwizny.

Jeżeli pani Nata jest tej ziemi Cererą i Persefona zarazem — pan Benedykt jest jej pomniejszonym o całą skalę wieków Nemrodem. Podczas gdy żona jego hoduje, sady, rozmnaża, przysparza — on zapalczywie uśmierca: wilki, zające, lisy, dziki, zawsze w tej jednej utajonej żądzy i myśli: przysparzania i władania. „Konieczne, uważasz, trzeba mieć coś swojego“ — powiada do syna ten urodzony posesjonat i sknera. A po latach, zbiwszy w szufladzie górę tęczowych banknotów, myśli, „iż tylko od jego woli zależy, aby ten suchy papierek zmienił się zpowrotem w ciężką strugę ziarn pszenicy, albo w gładkie stado potulnookich jałowic“. „A ziemia w myśli tej go utrzymuje świadomie, gdyż wie, że za inną dniówkę nie utrzymałaby go u siebie na wyrobku. Cóż to szkodzi gospodarzowi, gdy wół w jarzmie mniema się być włodarzem?“

Łagodna i cicha śmierć pani Naty była jakby powolnym roślinnym wrastaniem w ziemię. Symbolicznym zwiastunem zgonu dla pana Benedykta są zaburcze mrówki, nacierające na stary dom „na pewnego“. „Wiadomo, jak co próchnieje, mrówki pierwsze się zwiedzą“. Na nic pomidorowe liście i lanie wrzaskiem. Czarny sznur wciąż posuwa się po ścianie domu. I tu autorka rzuca jakby od niechcienia dyskretnie a jednak w plastyce swej niesłychanie wymowne zestawienie dwóch, przeciwległych sobie pozornie, a jednak do rdzenia istoty uzgodnionych światów: nieba i ziemi, wieczności i przemijania.

„Stary człowiek mimowoli wzniósł oczy: ujrzał nad sobą mrowisko cicho pełznących gwiazd“. Gwiazdy przyszły po duszę starego człowieka, podobnie jak mrówki kwapią się do próchna rozsypującego się domu.

Postawa młodego pokolenia wobec ziemi jest zgola odmienna. Adaś, wychowany w mieście, nerwowy, wrażliwy i skryty, wypatrujący przez jamki oświetlonych okien sąsiedzkich „dymiące natychmiastowością kęsy cudzych żyć“, omal że życiem własnym nie okupuje pierwszego spotkania się oko w oko z naturą. Urzeka go „spłoszona dusza leśna o płonących wściekłością wilczych ślepiach“, napęlnia go grozą czerwona posoka na martwym, białym ciełe

ziemi; palące żądło mrozu sięga jego serca i tajemną rozkoszą skręca mu ciało. Od zmarznięcia na śmierć ocala go wówczas głupi Gajduś, pół-idjota, pół-faun leśny, zjawiający się zawsze, niby zwiastun ważnych wydarzeń w życiu rodziny Grażelów.

I odtąd ziemia staje się dla Adasia okrutną i kuszącą Astarte, panią miłości i śmierci. „Jest pyszna, zimna i wyniosła, w samej sobie zasłuchana, zapatrzona w samą siebie, samej sobie obnażona. Jest jedna, niepodzielna, żywa, bliska a daleka, uległa a niedostępna, wieczyście ta sama, a o każdej porze dnia i nocy inna“. Jej czar budzi w chłopcu pragnienie „czegoś, co nie byłoby nieobjęte, jak ziemia, ale co dałoby się zamknąć całe w dwu gorących ramionach, ścisnąć do utraty tchu i nakryć bez reszty dwojgiem jego małych, człowieczych warg“.

To coś staje przed nim rychło w postaci młodej dziewczyny, Iwa, wnuczki obłąkanego świątkarza, a córki Elżbiety, „która umarła nie swoją śmiercią po nie swoim życiu“. Poryw zmysłowy budzącego się chłopaka ma znowu zabarwienie panteistyczne. Iwa ma dla niego w swoim ciele „jędrność wszystkich skał i miękkość wszystkich łąk, a pod cienkim naskórkem — wartko płynące wszystkie rzeki ziemi“. Jest dla niego szczytowem objawieniem natury, podobnie, jak on dla niej jest oblubińcem, zapowiadany przez tajemne przecucia i drżenia jej ciała, przez wiatr, przez słońce, przez wodę.

„Jesteś to, czego ja nie wiem, a co jest we mnie, i było, i będzie. Od czego niema ucieczki, ani ratunku, ani odkupienia“ — powiada dziewczyna.

— „Jestem miłość“ — uśmiechnął się Adam.

I oto kielkuje w obojgu zasiane ziarno szaleju. „Niema bowiem nikogo, kto by, rękę ściągnawszy, rozdział uczynił wieczysty pomiędzy duszą dziewczyny, a jej ciałem“.

Iwa ginie, żywcem pogrzebana przez obrywające się nad nią urwisko w chwili, gdy ich ciała zaczęły lgnąć ku sobie, jak leżące obok siebie grudki ziemi.

Adam ginie podczas wojny, jako lotnik. Śmierć jego jest ostatecznym uregulowaniem rachunków z ziemią. „Rana, ongiś na miarę człowieczego ciała w ziemskiej glinie wydarta, żywem teraz ciałem zarasta“.

I jakby zadośćuczynienie wszystkich win, otwiera się nad nim „niebo, rozpięte w błękitne skrzydła u złotego słońca“; to samo niebo, które w postaci symbolicznego zimorodka ofiarowała mu na progu młodości Iwa, a które z pomiędzy ich otwartych rąk bezpowrotnie uleciało. „Dar darowany, a nieotrzymany“ wraca do konającego „uśmiechem wieczystej radości“.

A niebo i ziemia „piersi o pierś wsparte, potoczyły się dalej w uścisku mocniejszym, niż śmierć: w uścisku tak mocnym, jak życie“.

Pozwoliliśmy sobie na tak szczegółowe uplastycznienie wewnętrznego kościca tej małej, ale ważkiej

książeczki, gdyż bez zrozumienia jego budowy można być narażonym na niebezpieczeństwo niedoceny jej pierwszorzędných walorów epickich, niedostrzegalnych dla tych, którzy w powieści szukają przede wszystkim fabuły.

Możemy zgóry zapewnić ten rodzaj czytelników, że spotka ich zawód: uszy z zaciekawienia nie zapieką. Ale natomiast każda prawdziwie artystyczna dusza z radością powita tę świeżą emanację szybko dojrzewającego talentu.

Od poprzedniej książki tej samej autorki p. t. „Dokąd?” — książki, rozplywającej się niejako w chaosie przedstawionym — jakież ogromny krok na drodze opanowania własnych sił, oszczędności środków, uproszczenia efektów, pogłębienia tematu!

Jeżeli rozwój młodej autorki pójdzie dalej w tem samym tempie, to możemy się po niej spodziewać, — a nawet dziś już mamy prawo wymagać od niej — dużych rzeczy w literaturze. Poważne wysiłki prawdziwego talentu należy traktować poważnie.

Z TEATRÓW

TEATR WIELKI:

„Syrena” — balet-opera z muzyką *Witolda Maliszewskiego*.

Któż nie pamięta z lat dziecińczych uroczej bajki Andersena „Rusałka”? Czyjej wyobraźni nie kołysała opowieść o córce morskich głębin, którą miłość do ziemskiego królewicza zaprowadziła po ciernistej drodze poświęcenia aż do śmierci? Zawiodłby się jednak srodze ten, ktoby w „Syrenie” Maliszewskiego chciał odnaleźć „Rusałkę” swych marzeń młodzieńczych. W zetknięciu z fakturą baletową ulotniło się tchnienie subtelnej poezji — fantasmagorja dna morskiego nie mogła zastąpić myślowej głębi Andersena, uroczą zaś boginkę odarła ze srebrnej łuski brutalna dłoń realizacji scenicznej, a nie, jak chce legenda, władza miłości, nad śmierć mocniejsza.

Jeżeli jednak pominiemy, niepoprawni idealisci, tę literacką genezę libretta, to okaże się, że „Syrena” jest widowiskiem ze wszech miar udanem, działającym tak silnie na zmysł wzroku, że chwilami przeciętny słuchacz łapie się na „gorącym uczynku „niesłyszania” muzyki, która stanowi tło ewolucji mimicznych i tanecznych, ale nigdy nie wysuwa się na pierwszy plan.

Na premierze wspominało, że Maliszewski jest uczniem Rimskiego-Korsakowa. Ten fakt nie jest bez znaczenia, skoro w „Syrenie” łatwo odnaleźć charakterystyczne echa rosyjskiej, z upodobaniem wypowiadającej się w formie baletu. Motywy polskie wykorzystał kompozytor w tańcach ludowych na pokładzie statku (krakowiak, mazur, oberek) i w marszu weselnym, osnutym na melodji znanej kolendy.

Rewelacyjną stroną widowiska było opracowanie taneczne. Niedawnym stosunkowo jest czas, gdy nasz balet zwolna, ale stale chylił się w wygodne objęcia szablonu. Jakies zasłużone jubilatki sztuki choreograficznej prezentowały swe rubensowskie kształty, rozmiarami bynajmniej nie świadczące o gorliwym treningu. Młode talenty wędły w posusze rutyny, z której niewidzialnym strumyczkiem uciekało życie. I raptem w tę atmosferę inercji, marazmu i leniwych wysiłków wpadł, jak burza, Parnell. Jego żywiołowy temperament, wspomagany wszystkimi arkanami nowoczesnej techniki, porwał za sobą cały zespół, dając w krótkim czasie podziwu godne rezultaty. Jesteśmy świadkami renesansu naszego baletu, którego obecne produkcje śmiało zaliczyć można do pierwszorzędných w Europie. Akrobatyczne „kawałki”, gęsto powplatanie w pstrą tkaninę pomysłowości choreograficznej, nie razią wobec natłoku wrażeń plastycznych szlachetniejszej natury.

Do powodzenia widowiska przyczyniły się w dużej mierze dekoracje i kostjomy, projektowane przez p. Wodyńskiego. Wnętrze dna morskiego i rozwijająca się na jego tle bachanalja wodnic i wodników, koralu i ośmiornic, ryb i potworów morskich — dorównywała przepychem wystawy i reżyserją najefekowniejszym rewjom w „Casino de Paris.” Trochę sztywno trzymali się śpiewacy. Nadmiernie przejęci wygłaszaniem niezbyt melodyjnych tyrad, „celebrowali” w duchu dawnego rytuału operowego. S. P. O.

TEATR MAŁY:

„Pociąg - Widmo”. — komedja *Arnolda Ridley'a*. Przekład *Niny Niovitli*. Reżyserja *Aleksandra Węgierki*.

Idealna sztuka dla zamkniętego już teatru „Sensacji.” Uczta lukullusowa dla amatorów gęszej skórki. Genealogja artystyczna tej „komedji” mocno jest podejrzana, ale przecież żyjemy w czasach demokratycznych i nie będziemy się spierać o rodowód tego widowiska, które napewno ściągnie do teatru Małego tłumy, żadne dreszczu niesamowitej grozy. Naiwność fabuły, jaskrawość efektów, groteskowość poszczególnych postaci nie razi wobec skromnych aspiracyj autora, który, z godną uznania ostrożnością, osłabia napięcie grozy epizodami komicznymi, rozbajającymi w swej prostocie. Rezultat był ten, że na sali nikt nie dostał ataku histerycznego, tylko artystki dystansowały się na scenie w spazmach i piskach, godnych przysięgłego teatru amatorskiego. Na ogół jednak gra artystów była niedociągnięta, albo przeciągnięta. Pancewiczowa tak świetnie zagrała obłąkaną, że nie chciało się wierzyć, że przecież ona jedna udaje strach. Ululaną abstynentkę rozkosznie zaprezentowała Czaplínska. Język przekładu wymaga gwałtownej sanacji. Jest to jakiś sztuczny produkt, chemicznie wyprany z naturalności. S. P. O.

Kobieta w świecie i w domu

PIERWSZY KOBIECY KONGRES SPORTOWY

Dzień 14-go kwietnia r. b. pozostanie datą epokową w dziejach wychowania fizycznego Polski. Dwudniowe obrady kongresu odsoniły zarówno miarę dotychczasowej akcji w tej dziedzinie, jak i świetne horoskopy na przyszłość. Fakt, że kongres odbył się pod protektoratem Marszałka Józefa Piłsudskiego, wykazuje jasno, jak dalece idea fizycznego odrodzenia Narodu nabrała charakteru państwowo-twórczej roboty.

Obrady odbywały się w gmachu gimnazjum im. królowej Jadwigi. Na otwarciu stawili się liczni reprezentanci władz i społeczeństwa, związków i kół sportowych, oraz medycyny i nauczycielstwa. Mowę powitalną, w imieniu Marszałka Piłsudskiego i p. Ministra Wyznań Religijnych i Ośw. Publicznego, wygłosił nieustrudzony bojownik na niwie wychowania fizycznego p. płk. Ulrych. W przemówieniu swoim kładł szczególniejszy nacisk na ideę rozwoju fizycznego młodzieży, żądając redukcji godzin szkolnych, oraz wypracowania metod sportowych dla dziewcząt ze ścisłym uwzględnieniem warunków organizmu kobiecego.

Na przewodniczącą zjazdu obrano p. H. Olszewską, na wiceprzewodniczącą—p. K. Muszałównę. Po przemówieniach powitalnych prezydenta Warszawy p. Słomińskiego, przew. wych. fizycznego d-ra Zawadzkiego, d-ra Kulikowskiej, d-ra Budzińskiej-Tylickiej, p. Sikorskiego i innych, przystąpiono do referatów programowych. Wszyscy referenci wychodzili z punktu widzenia konieczności wypracowania odrębnych form dla sportu kobiecego, gorliwie występując przeciw ślepeму przyjmowaniu postulatów sportu męskiego.

Pierwsza przemawiała dr. Reicherówna, rozpatrując podstawy naukowe wychowania fizycznego w świetle badań lekarskich. Dr. Dybowski obrał sobie za temat „kontrolę lekarską w sporcie“, do magając się jaknajdalej idącej indywidualizacji, t. j. przystosowania ćwiczeń do skali fizycznych możliwości kobiet.

„Wytyczne sportu kobiecego“ referowała po południowej przerwie dr. Zabawska-Domostawska, podkreślając konieczność osiągania precyzyjnej techniki i estetycznych walorów w sporcie kobiecym. Jako stanowczo nieodpowiednie uznała prelegentka: zapaśnictwo, boks, football, hockey na lodzie, praktykowany rodzaj piłki koszykowej, polo wodne, skoki (narciarskie i wodne-wieżowe), kolarstwo i konną jazdę wyścigową.

P. H. Olszewska dała wyczerpujący przegląd współczesnych metod gimnastycznych. P. W. Prażmowska przeniosła punkt ciężkości zagadnienia w dziedzinie wpływów sportu na charakter, traktując wychowanie fizyczne, jako środek osiągnięcia pełni życia i potępiając postulat „rekord dla rekordu“. Zamknięciem obrad pierwszego dnia kongresu był drugi referat d-ra Dybowskiego na temat konieczności traktowania sportu, jako czynnika, równoważącego siły wyczerpanego pracą zawodową organizmu i racjonalnego wykorzystania czasu wolnego od pracy; ref. dr. Korsakówna podjęła sprawę rozwijania w dzieciach zamiłowania do ćwiczenia władz fizycznych. W drugim dniu obrad przemawiał pułk. Sikorski, referując wymagania, którym powinna odpowiadać instruktorka, i zaznaczając dotychczasową wyższość przeciętnej instruktorki nad przeciętnym instruktorem. Wiele ciekawych, zgodnie przez kongres przyjętych projektów nakreśliła ostatnia prelegentka zjazdu, p. Muszałówna, w referacie p. t. „Organizacja sportu kobiecego“.

Przytoczenie wniosków i uchwał kongresu scharakteryzuje najlepiej wysoki poziom referatów i ożywioną rzeczową dyskusję. Zgodnie z ideą przewodnią kongresu, wszystkie one idą w kierunku

indywidualizacji i usamodzielnienia wychowania fizycznego kobiet. Między innymi uchwalono konieczność: kierownictwa kobiecego w kołach i sekcjach i tworzenia autonomicznych komisji kobiecych przy związkach państwowych; powołanie z nich międzyzwiązkowej komisji kobiecej z udziałem członkiń Rady Naukowej Wychowania Fizycznego, referentki P. Urzędu Wych. Fizycznego, oraz osób kooptowanych; reprezentacji kobiecej na terenie międzynarodowym; gorącej akcji w kierunku popierania istniejących i tworzenie nowych klubów sportowych.

Ponadto kongres uchwalił konieczność zwiększenia godzin gimnastyki i gier ruchowych w szkołach, oraz zwołanie specjalnego zjazdu, poświęconego wychowaniu fizycznemu młodzieży.

Wnioski mówią same za siebie. Wysoce racjonalne i pełne zrozumienia dla doniosłości podjętej pracy,—spotkają się niewątpliwie z jaknajszerszym poparciem sfer kobiecych i całego społeczeństwa.

W. B.

PRAWA WYBORCZE Kobiet ANGIELSKICH

Premjer angielski Baldwin zapowiedział na jednym z zebrań kobiecych w Londynie, że projekt prawa, przyznający kobietom, które ukończyły 21 lat, udział w głosowaniu — został złożony do parlamentu (do Izby Gmin) i będzie uchwalony na czas, aby w najbliższych wyborach nowe wyborczynie mogły już spełnić swój obowiązek obywatelski.

Tym razem obietniczki nie okazały się tylko cacankami... Sekretarz stanu spraw wewnętrznych Sir Yoguson Hicks wniósł dnia 5 kwietnia r. b. projekt ustawy, rozszerzającej czynne prawo wyborcze kobiet w Wielkiej Brytanji.

Projekt ten spotka się, oczywiście, z opozycją grupy konserwatystów, którzy pragną zrobić „poprawkę“: przyznanie czynnego prawa wyborczego kobietom, które ukończyły 25 lat, a nie 21, jak to brzmi w projekcie... ale opozycja tym razem nie odniesie (jak przypuszczają) zwycięstwa.

Według przybliżonych obliczeń, nowa ustawa upoważniaby do głosowania 5.250.000 kobiet; z tej liczby kobiety w wieku od 21 do 25 stanowią poważną grupę, liczącą przeszło 1½ miliona osób.

Z niecierpliwością zrozumią i niepokojem oczekują córki Albjonu ostatecznych wyników obrad.

Przy sposobności spieszymy dodać, że w ubiegłym miesiącu upłynęło dziesięciolecie równouprawnienia kobiet angielskich, a jednocześnie—zniknięcia z horyzontu Anglii... sufrażystek.

Dzisiaj angielski są już wszędzie i na wszystkich stanowiskach. Jedynie może armja, flota i służba konsularna bronią się jeszcze przed wtargnięciem energicznych misses na rozliczne posterunki, zajmowane dotychczas wyłącznie przez płeć silną. W tym triumfalnym pochodzie angielek są jednak i słabe strony.

Dotychczas wre walka o wyrównanie zarobków w Brytanji, które są zawsze jeszcze dużo wyższe dla mężczyzn, niż dla kobiet.

H. S.

O JASNEJ GÓRZE PO FRANCUSKU.

P. Wanda Ładzina, była posłanka na Sejm, napisała i wydaje po francusku historję i opis obrazu Matki Boskiej w Częstochowie.

Dziełko to ma na celu zblizenie polsko-francuskie na tle kultu religijnego dla Najświętszej Panny. Jest dalszym ciągiem akcji, jaką z wielką gorliwością prowadzi p. Ładzina, wygłaszając prelekcje we Francji o Matce Boskiej Częstochowskiej, a w Polsce o Matce Boskiej z Lourdes. Odczytów, ilustrowanych przezrociami, wysłuchały setki tysięcy osób.

Ta propaganda zdobyła sobie nietylko dużą popularność, ale zwróciła uwagę sfer najwyższych. P. Ładzina otrzymała w uznaniu za swą pracę order papieski „Pro Ecclesia é Pontifice“, a w przedmowie do książeczki o Jasnej Górze napisali serdeczne słowa polecenia do książeczki o Jasnej Górze napisali serdeczne słowa polecenia wysoce dostojnicy kościelni francuscy: Arcyb. Msgr. Baudrillard, Chaptal, Choller, a z polskich: prymas ks. kard. Hlond i ks. przeor Markiewicz z Jasnej Góry.

J. K.

OBRAZY Z HISTORJI MODY

I. GRECJA

Od czasu do czasu przychodzą na świat genialni ludzie — i od czasu do czasu pojawiają się w historii ludzkości genialne narody.

Takim genialnym i wyjątkowym narodem byli niewątpliwie Grecy. Możemy to powiedzieć dziś jeszcze, mimo że krytycyzm nasz w stosunku do greckiej kultury wzrósł w ostatnich czasach ogromnie. Kiedy bowiem — w końcu XVIII w. — rozpoczynano systematyczne badania nad Grecją, a i później jeszcze, w ciągu całego wieku XIX — wydawało się, że cała ta wspaniała kultura zjawiała się niemalże nagle, jak gdyby jakiś cud z nieba, bez poprzedników, bez tysiącletniej, poprzedzającej ją pracy przygotowawczej. Późniejsze badania przekonały nas, że mniemanie to jest fałszywe: wykopaliska, dokonane w Grecji, w Azji Mniejszej i na Krecie, odkryły głęboki związek, zachodzący między kulturą grecką, a prastarą, bo na kilka tysięcy lat przed naszą erą istniejącą, kulturą kreteńską i następnie kulturą mykeńską, która z niej wyrosła. Ta Grecja, którą my widzimy i którą się zachwycamy, wydaje się z tej perspektywy raczej już jakimś ostatnim etapem rozwoju całych tysiącleci, wykwittem czegoś, co przygotowywało się przez setki pokoleń. Nie ujmuje to jednak w niczem genialności tego wyjątkowego narodu.

Jeśli jednak wyobrażamy sobie życie Greków, jako jedno pasmo radości, jako nieprzerwany sznur



Strój grecki według starożytnej płaskorzeźby.



Układ draperji antycznej.

spokojnych dni, pełnych doskonałości — to niewątpliwie dopuszczamy się zwykłej w takich razach przesady.

Niema życia bez walki, bólu i niesprawiedliwości. Nie można zapominać o przytłaczającym procencie niewolników w stroju Grecji, o demagogji przywódców, o smutnem wreszcie położeniu kobiety greckiej — o ile była cnotliwą żoną, a nie heterą: od wszelkich rozkoszy ówczesnego życia artystycznego, intelektualnego i towarzyskiego oddzielał ją mur, który otaczał jej domostwo; życie jej płynęło zacieśnione i ograniczone do zajęć gospodarczych, i to właśnie najbardziej wówczas, kiedy Grecja przeżywała złoty okres swego rozwoju.

A jednak, mimo to wszystko, gdybyśmy szukali mianownika, któryby określił to, co jest najistotniejsze w charakterze greckiej kultury, nie znaleźlibyśmy bodaj lepszego nad to jedno słowo: harmonja. Czy harmonja ta wynikała z niezaspokojonej tęsknoty za tem czemś, czego właśnie w życiu nie było, czy też odzwierciedlała ona istotnie harmonijne strony życia greckiego — tego nie możemy na tem miejscu rozstrząsać. W każdym razie duch grecki miał niezrównane poczucie harmonji i wcielał ją we wszystko, co tworzył.

Zaznaczyliśmy już w poprzednich artykułach, że ubiór — moda — nie jest niczem innym, jak twórczością na sobie samym, że jest to stwarzanie własnej postaci, urzeczywistnienie ideału formalnego człowieka na własnem jego ciele. Ta twórczość podlega

tym samym prawom, co i każda inna; ujawniają się w niej te same czynniki, ta sama wola artystyczna, która kształtuje formy sztuki. Otóż jeśli uznaliśmy harmonję za najbardziej istotną cechę twórczości greckiej (szczególniej twórczości plastycznej, która przecież najbliższa jest twórczości mody), to harmonję odnaleźć musimy, i istotnie odnajdziemy w tym ideale normalnym, według którego urabiał grek swoją postać.

Stefanja Zahorska.



COŚ NIECOŚ O ODPOCZYNKU U NAS I GDZIEINDZIEJ...

Z cyklu: „Na ile obyczajowości w Anglii“

Wiemy wszyscy aż nadto dobrze, że dla pracy umysłowej godziny dnia posiadają częstokroć rozmaite wartości: mamy chwile doskonałej sprawności naszego mózgu, naszych uzdolnień przyrodzonych, wysiłku woli, i przeciwnie: mamy chwile gorsze, albo i zupełnie złe, rzecz można — bezmyślne — kiedy najłżejszy wysiłek umysłowy, czy pamięciowy przychodzi nam (powód — przemęczenie) z ogromną trudnością.

I wiemy też doskonale, że nawet każdy dzień w pracowitym tygodniu posiada swe specyficzne zabarwienie i swój charakter.

Np. w poniedziałek człowiek, wbrew utartemu przekonaniu, wcale, ale to wcale nie jest „najmądrzejszy“.

Przeciwnie: ziewający, niewywczasowany, pełen jeszcze reminiscencyj z dnia poprzedniego — pracuje zazwyczaj źle. Jest też nieco zgorzkniały i najrozkoszniejsze perspektywy, roztoczone przed jego oczyma, powita z wyraźną nieprzychylnością.

We wtorek jest jaśniej na duszy (choćby na dworze była ślota i niepogoda), bo każdy czuje się wypoczęty, a więc i weselszy. Pracuje niezgorzej.

Za to we środę pracuje się pono tak intensywnie, jak w żadnym innym dniu! Załatwia się dziesiątki spraw wyjątkowo pomyślnie, ma się ogromną ochotę na teatr, kino, na ognistą, zwalczającą pogląd przeciwnika pogawędkę — wogóle — na rozrywkę.

W czwartek zmęczenie zaczyna znowu rozłazić się po kościach, radość życia przygasa powoli...

Właśnie, à propos tego czwartku—pewien amerykański profesor psychotechniki (nazwisko wywieńtrzało mi z pamięci), profesor Colgate University, pragnąc ustalić sprawność umysłu i bystrość orientacji człowieka o każdej porze dnia i nocy, każdego dnia w tygodniu—przyszedł do niezbitych dowodów na podstawie długoletnich badań, że właśnie ten czwartek w życiu ludzi cywilizowanych, dla osobników,

pracujących umysłowo, śmiało może być uznany za feralny.

Jest to dzień, który przynosi maximum wyczerpania, a co idzie z tem w parze—minimum sprawności mózgu i wydajności pracy w życiu inteligenta.

A jeżeli przypomnimy sobie, że... dzień każdy człowieka jest całym życiem: „budzi się dziecięciem, staje się błyskawicznie młodzieńcem w pełni sił i mocy i starzeje się powoli ku nocy...“—jeżeli tę maksymę weźmiemy pod uwagę, to i cóż dziwnego, że najintensywniejsza godzina inteligencji każdego człowieka nastaje wkrótce po obudzeniu się; następnie sprawność mózgu maleje stopniowo z godziny na godzinę, w południe jest już o cały stopień niższa, niż zrana, zaś o 4-ej pp. dochodzi do minimum.

Według tegoż amerykańskiego uczonego godzina czwarta po południu w czwartek jest najbardziej idyotyczną chwilą w życiu kulturalnych obywateli świata, czyli, innymi słowy, człowiek w tym dniu i tej godzinie jest chyba najbardziej... głupi.

Trudno! nie jego to wina.

W piątek inteligencja przeciętnego pracownika wznosi się nieco, nie dochodzi jednak nigdy do najwyższego stopnia intensywności, a w sobotę (klaps!) upada nagle, i cały organizm człowieka domaga się gruntownej reperacji, czyli rzetelnego odpoczynku.

I jeżeli ważką jest kwestją umieć dobrze pracować i tworzyć, to niemniej ważną jest potrafić rozumnie obmyślić sobie odpoczynek. Nie połowiczny, nie względny (który polega, jak twierdzi medycyna, na zmianie pracy umysłowej na fizyczną, czy vice-versa), a bezwzględny, zupełny, absolutny odpoczynek dla mięśni i nerwów.

I nigdzie chyba nie postarano się o to tak sumiennie, nie wypróbowano, nie wykalkulowano tego odpoczynku tak praktycznie, a zarazem racjonalnie, jak chyba w Anglii! (nie znam zwyczajów w Ameryce).

Znowu ta Anglja??

Cóż robić — kiedy tak jest.

Ten ich znamieny odpoczynkowy „koniec tygodnia“ (week-end), spędzany tak zupełnie inaczej od trybu dni codziennych, w innym zgoła otoczeniu, wśród innych ludzi, przedmiotów, rozrywek, najczęściej na łonie przyrody—powtarzany najregularniej co tydzień, czy dwa przez cały rok — staje się główną podstawą dobrego zdrowia i niepoślednią przyczyną wydajności pracy w każdej dziedzinie życia społecznego, nie na jeden tylko tydzień!

To też chyba nigdzie na całym świecie sobota nie jest tą „100% sobotą“, tym najmiłszym dniem w życiu pędraka, czy siwiejącego męża stanu—jak na dalekiej wyspie!! Dniem wyjazdów, marszruty (bodaj najkrótszej), eleganckich kuferków, które, jak te rogi obfitości, zawierać muszą w sobie wszystko, czego dusza zapagnie.

Dniem — w którym dokonywa się błyskawiczna zmiana miejsc, mijanie coraz to nowych twarzy, pro-

wadzenie coraz to innych rozmów, ba! kosztowania nawet innych, niecodziennych przysmaków!

Jednym słowem—odnowienie, odświeżenie, ożywienie martwych punktów w organizmie w całej pełni.

I dokądże tak wszyscy wyruszą, jak na komeńdę? I czy też warto, na jakieś tam głupie 36 godzin, tyle kramu i zachodu?

Dokąd?—a na wieś! zresztą niekoniecznie nawet na szczerą wieś, lecz byle dalej za mury miejskie, byle dalej (choć na krótko) od trujących, śmierdzących gazów, włączających się po ulicach! byle dalej od wysłuchiwanie niemilkających gwizdków, pisków i tych wszystkich denerwujących hałasów, wytwarzanych przez maszyny i motory! byle bliżej morza (bodaj nawet w niepogodę!), zieleni i gór! Nie na jakiś tam spacerek niedzielny w Aleje, na hańsick, czy trzy powietrza—lecz na istną kąpiel powietrzna!

A czy my, nieszczęsne mieszczychy warszawskie, możemy nawet marzyć o tak zupełnym odpoczynku bodaj raz na parę miesięcy?!

Och!.. nie chcę wspominać przecież tych niedzielnych cudownych wyjazdów „na letniaki“ letnią porą, od pociągu do pociągu, i tych powrotów późnym wieczorem do miast w natłoczonych, ciemnych pułdach wążkotorówki, kiedy za cały dobytek z wywczasów przywiezie się do domu pogruchotane nieco kości, zmiażdżone stopy i zwiędłe już na śmierć—kwiaty.

W kraju, gdzie posiadanie wozu automobilowego na własność oddawna przestało być przywilejem ludzi wyjątkowo zamożnych, a stało się „rzeczą codziennego użytku“ obywateli zaledwie średnio zamożnych; w kraju, gdzie gładiusieńkie, zda się, wywskowane, jak posadzki, drogi docierają do każdego kąta (a więc tem samem zapadłych, ciemnych kątów niemal); gdzie komunikacja kolejowa i autobusowa funkcjonuje w specjalnie szybkim tempie w dni weekend'ów; gdzie oberże, zajazdy, pensjonaty i hotele, od najskromniejszych (nie znaczy to — brudne i brzydkie) do najszykowniejszych — wyrastają przy drogach, jak grzyby po deszczu—oczywiście w takim kraju nie dozna się z byle czego zaraz kramu i zachodu.

Jeszcze w piątek wszystko musi być przygotowane, obmyślane, spakowane. „Rumaki“, naoliwione i suto benzyną podpojone, warczą ze zniecierpliwienia—tylko siadać i gnać!

Do krewniaków, do przyjaciół, do znajomych, mieszkających nawet o kilkadziesiąt mil, w tych prześlicznych „country-towns“ (miasteczkach-wsiach).

Albo i niekoniecznie w gościnę.

Młodziutkie i posiwiałe pary małżeńskie, trzymające się wciąż przy boku jedno drugiego, niby te zielone papużki, wyruszą chętnie na chybi-trafi przed siebie do pierwszej lepszej urządzonej w staro-angielskim stylu oberży, kędyś bliżej lasu, czy wody.

Sportsmeni rozmaitej branży pośpieszą do zamiejskich klubów sportowych. Młodzież starsza z wyższych uczelni zajrzy często do rodziny bliższej, czy

dalszej, bodaj na drugi kraniec wyspy. Rodzice zaś pojedą z rozkoszą do najmłodszych malców, chowanych we wzorowych zakładach zamiejskich, i stanąwszy w którymś najbliższej uczelni położonym hotelu—urządzą swym pociechom prawdziwie świąteczne dni, i t. d. i t. d. Czy można właściwie wyliczyć i dowiedzieć się, dokąd oni wszyscy pojedą i skąd na ten koniec tygodnia biorą pieniądze? Poproście zadziwiająca!

Słyszałam, że to nic a nic drożej nie kosztuje.

A pogoda angielska? przecież tyle razy się pisało... Pogoda? — zmienna, mglista, wilgotna.

No tak, oczywiście... zresztą djabeł nigdy nie jest tak straszny, jak się go kuszą odmalować.

Na miejscu więc, twarz w twarz z pasją nieprzychylnych żywiołów—nikt zbytnio ani się troska, ani się wzrusza stanem rzeczy.

Klimatu, przecież się nie zmieni. Wyspy Albjonu na drugi kraniec świata się nie przetruci, więc i wybryki atmosferyczne, przy odpowiednim przeciwstawieniu się—powita się z filozoficzną flegmą.

A sobota fascynuje, podnieca, trudno się jej oprzeć. Czuje się ją od rana w powietrzu.

Wyczyta się na każdej twarzy ludzkiej, gdyby się nawet pogubiło kartki z kalendarza.

Ludzie, zda się, nie chodzą, a latają dnia tego po brukach. Nie pracują, a załatwiają wszystko piorunem. Nie rozmawiają, a porozumiewają się wykrzyknikami (niema czasu!). Nie witają się, a uśmiechają i wyjeżdżają, wyjeżdżają, wyjeżdżają...

Punkt o pierwszej zamkną się z chrzęstem zamków i zatrząsków wszystkie banki, urzędy, biura, fabryki. Szkoły, z powodu wycieczek krajoznawczych—daleko wcześniej. Wszystkie większe sklepy i magazyny będą nieczynne już od drugiej; do wieczora pozostaną otwarte tylko cukiernie i owocarnie.

Na ulice wszystkich miast wielkich, i małych, i najmniejszych wybiegnie kilkumiljonowa armja urzędników wyższej i niższej kategorii.

Nastaje święto—odpoczynek.

A w niedzielę... czy wiecie o tem, że w Anglii, Szkocji i Irlandji będą zamknięte w niedzielę na 4 spusty: wszystkie teatry, kina, widowiska, cyrki; wszystkie galerje, muzea, wystawy?... Każdy, przecie musi odpocząć!

(c. d. n.)

Han. Skar.



Już opuściło prasę epokowe dzieło genialnej myślicielki M. Grossek-Koryckiej p. t. „ŚWIAT KOBIECY“, odślaniające najtajniejsze głębie kobiecej i męskiej psychiki. Cena książki 7 zł. Zamawiać w Tow. Wyd. „Bluszcz“—Warszawa, Krak. Przedm. 99.

OGRÓDKI DZIECINNE

II.

W ogródku dzieciennym nie powinno się brać pod uwagę hodowli roślin zbyt delikatnych, wymagających daleko sięgającej fachowości, a przez to samo dających wyniki niepewne. Hodowla powinna być prowadzona starannie i pieczołowicie, jednak nie może przedstawiać zbyt zawilich trudności.

Jakie rośliny złożą się na upiększenie klombików i rabat, i co zapełni ogródek warzywny? Oto ważne i wymagające rozważenia pytanie.

Pomiędzy kwiatami rozróżnić musimy trzy rodzaje: byliny, kwiaty dwuletnie i kwiaty jednoroczne, t. zw. letnie. Byliny wybierzemy te, które zimują w ziemi. Wyjmowanie cebulek, oczyszczanie ich z łuski, przechowywanie — to już praca skomplikowana i nie zawsze dostępna dla dziecięcej rozbieżności. Zatem z najwcześniejszych:

Przebiśnieg, czyli **Śnieguła** (*Galanthus Nivalis*). Mała roślina — kwiatki pochylone ku dołowi, białe z zielonymi wierzchołkami. Kwitną w marcu.

Szafirek (*Muscari*) — śliczne niewielkie roślinki, zakwitające również najwcześniejszą wiosną. Kwiaty o bogatych niebieskich odcieniach, zebrane w grona.

Szafrań (*Crocus*) — wczesna wiosenna roślina. Kwiat w kształcie kielicha w barwach urozmaiconych.

Pierwiosnek (*Primula*) — okres kwitnienia — koniec marca, kwiecień.

Fiołki powtarzające. Kwitną w początkach kwietnia, a poraz drugi — we wrześniu i w początkach października.

Zonkile i narcyzy — zakwitają: pierwsze — w końcu kwietnia, drugie w — początkach maja. Pozostawione kilka lat na miejscu, rozrastają się bujnie i kwitną wspaniale.

Tulipany — jedne z piękniejszych kwiatów wiosennych — okres kwitnienia — koniec kwietnia, początek i połowa maja, zależnie od gatunku i wystawy.

Stokrotki — kwitną bujnie i przesłicznie wczesną wiosną i jesienią, aż do mrozów.

KWIATY WIOSENNE DWULETNI:

Do najodpowiedniejszych i najwdzięczniejszych zaliczamy tutaj bratki, niezapominajki i dzwonek, t. zw. **Kołpak** (*Campanula*).

Bratki kwitną najpiękniej wczesną wiosną, od końca kwietnia poprzez cały maj. Nie lubią letniej spiekoty, to też drobnieją i zanikają w okresie upałów.

Niezapominajki zakwitają w maju, tworząc przemiłe dla oka błękitne klombiki.

Kołpaki kwitną w czerwcu, a jeżeli wylamać łodygi po okwitnieniu — pawtarzają niekiedy kwitnienie jesienią.

Wszystkie te trzy rodzaje roślin zakwitają w drugim roku i na tem kończy się ich okres wegetacyjny.

KWIATY LETNIE

zebrane podług kolejności kwitnienia;

Rezeda — czas kwitnienia zależny od zasiewu, rozpoczyna się od maja, lub czerwca i trwa aż do mrozów.

Maciejka (*Mathiola*) zakwita w sześć tygodni po zasiewie — ceniona dla cudownego zapachu, rozwija się o zachodzie słońca.

Nasturcja — wysiana w końcu marca, lub początkach kwietnia, zakwita już w połowie lub pod koniec czerwca.

Makiogrodowe. — okres kwitnienia lipiec.

Groszki pachnące — wysiane w końcu marca, początkach kwietnia, zakwitają w pierwszych dniach lipca — kwitną przez całe lato.

Dziwaczek (*Mirabilis Jalapa*) — ozdobna roślina dużych rozmiarów, pokryta mnóstwem różnobarwnych kieliszków kwiatowych, otwierających się o zachodzie słońca — zakwita w połowie lipca.

KWIATY INSPEKTOWE

hodowane z nabytych flanc i niewymagające zbyt wielu starań:

Zawieratka (*Petunia*) — kwitnie od czerwca przez całe lato do późnej jesieni.

Tytoń (*Nicotiana*) — wysokie krzaki, pokryte obficie, białym i cudownie pachnącym kwieciem. Kwitnienie od lipca do późnej jesieni.

Lwia paszcza (*Antirrhinum majus*) — ulubiony przez dzieci kwiat, przypominający składem lwią paszczę, od której wziął miano. Kwitnie przez całe lato barwnie i obficie.

Astry — najwdzięczniejsza i najłatwiejsza do hodowli roślina, obsypana różnobarwnym kwieciem od połowy lata do najpóźniejszej jesieni.

Z warzyw w ogródku dzieciennym, rzadko kiedy tak rozległym, aby mógł pomieścić wszystko, co taki młody zapaleniec wyhodowaćby pragnął — najlepiej prowadzić jedynie sezonowe nowalje. O grzędach kapusty, marchwi, pietruszki, cebuli marzyć nawet nie można! Zatem, biorąc pod uwagę poświęcenie dwóch zagonków na praktyczną hodowlę, doradzimy dobór następujący:

Zagonki obrzeżyć truskawkami i poziomkami miesięcznymi, czyli powtarzającymi, nadając im w ten sposób ładny i estetyczny wygląd. Na jednym posiać już w końcu marca, lub w początkach kwietnia, zależnie od wczesnej lub późniejszej wiosny, pierwszą rzodkiewkę, oddzielając dla niej niewielką przestrzeń, albowiem prędko wyrasta i parcieje, jeżeli mamy jej zbyt dużo. Dalej — działka najwcześniejszego szpinaku, tak, aby zbiór przypadł w maju. Następny kawałek poświęćmy pod zaflancowanie sałaty wczesnej i buraczków, przeznaczonych na boćwinę. Cały zagonek obsadzimy wzdłuż, poza linią truskawek i poziomek, licząc ku środkowi zagonka, flancami galarepki. Sprzątając plon sezonowy, spulchnimy ziemię powtórnie, damy jej odpocząć i powtórzmy w drugiej poło-

wie lata zasiew rzodkiewki, oraz sadzenie sałaty i galarepki, aby mieć zbiór jesienny.

Drugi zagonek przeznaczamy na ogórki, groszek i fasolkę karłową.

Ogórki damy pośrodku wzdłuż całego zagonka, siejąc je tak, aby kielkowały po 15-ym maja; po jednej stronie ogórków, w dość szerokim odstępnie, posadzimy karłowy groszek cukrowy, siejąc go w pierwszej połowie kwietnia, po drugiej — karłową fasolę szparagową, wysiewając ją w drugim tygodniu maja.

Na słonecznej wystawie pod płotem, podsianym powojami (*Ipomea Purpurea*), lub fasolą bukietową, zasadzimy kilka krzaczków dorodnych pomidorów, dając pomiędzy jednym a drugim, w dosyć dalekich odstępach, krzak kukurydzy—i ogródek będzie dobrze zagospodarowany, nie przestając w ten sposób plonować przez wiosnę, lato i jesień. Po zagonie, przeznaczonym na ogórki, groszek i fasolkę, posiejemy koper, powtarzając zasiew kilkakrotnie w ciągu całego lata.

Szczegółowy opis hodowli kwiatów i warzyw podanych wyżej, znajdują Panie w książeczkach „Życia Praktycznego“ Tow. Wyd. „Bluszcz“ („Mój Ogródek“).

W. D.

U PANA BOLESŁAWA HORODYŃSKIEGO

Przedemną siedzi w fotelu stary pan — nie starzec jeszcze, o rzeźbionych rysach, młeczej, długiej, starannie utrzymanej brodzie i srebrnych, przykrytych czerwoną czapczką, gęstych, jak u młodzieńca, włosach. Przed tygodniem otrzymałam miłe telefoniczne zaproszenie pomówienia w sprawie przekazania potomności doświadczeń kulinarnych, nabytych w ciągu szesnastu lat pobytu w Ameryce, gdzie mój szanowny interlokutor, w pogoni za chlebem, jak wielu innych emigrantów po powstaniu 63 roku, prowadził bar. Historia się powtarza: niedawno rzesze całe naszych kresowców, pozbawione przez najazd bolszewicki dachu nad głową, wyrzucone z gniazd rodzinnych, zanim znalazły inne sposoby zarobkowania—pracowały w różnych „Ogniskach Kresowych“, „Kawiarniach Kresowych“, „Ogniwach“, „Wirach“ i t. p. Panie i panowie, niedawno rozporządzający liczną służbą — zamienieni zmiennością losów w kelnerki i kelnerów, bufetowe, — ba! — kucharki i pomywaczki, byle nie umrzeć z głodu, byle nie wyciągać ręki po jałmużnę. I nie my jedni, polacy, chwytałyśmy się tego sposobu zarobkowania. Paryż i Konstantynopol, jedyne bodaj w Europie stolicy, gdzie miejscowa ludność daje możność zarobkowania cudzoziemcom, przepełnione są rozmaitemi mniejszymi i większymi jadłodajniami, gdzie pracują emigranci rosyjscy, — widocznie tego rodzaju pracy najłatwiej się nauczyć,

no i przy niej wyżywić, — bo nasi wschodni sąsiedzi, również jak i my, lubią zjeść smacznie i umieją to zrobić.

Pan Horodyński nie zamerykanizował się: pozostał szczerym polakiem, ale szesnaście lat emigracji wyrobiło w nim amerykańskie gusta. Ze smakiem mówi o sosach „Tomatoekatsup“ i „Onionkatsup“, o codziennie świeżem pieczywie, przyrządzanem na „backing powder“, czyli proszku do pieczenia.

Bo dziwnym objawem jest to, że amerykanie, jadając dla pośpiechu mnóstwo konserw — bułeczki i inne drobne pieczywo do każdego posiłku wypiekają w domu. Było to tak przed blisko półwiekiem, gdyż pan Horodyński wrócił po amnestji do ojczyzny już w roku 1881, lecz jest tak i dzisiaj, kiedy amerykanki, zupełnie się prawie bez służby obchodząc, same wszystko dla rodzin swoich piec i gotować są zmuszone. Że to nie jest niemożliwem, przypisuje mój interlokutor temu, iż zamiast drożdży używają proszku do pieczenia, dzięki czemu ciasto jest gotowe w parę minut i zaraz po zamieszeniu jednorazowem idzie wprost do pieca.

Rozmowa treści kulinarnej jest przeplatana wspomnieniami tak pięknej młodości, — jakże odległej! gdyż pan H. liczy sobie osiemdziesiąt lat wieku, a umysł ma żywy i młody, prowadzi szeroką korespondencję ze swymi przyjaciółmi na drugiej półkuli, tłumaczy artykuły do pism amerykańskich. Tylko nogi mu niebardzo służą; rzadko opuszcza pokój, a jeszcze rzadziej — mieszkanie. Ubrany starannie w barwny mundur weterana 63 roku, siedzi wyprostowany w fotelu i opowiada dawne dzieje. Więc dzieciństwo na wsi i przyjaźń, zawartą przy kąpieli w rzeczce, z synkiem sąsiadów, sześciolatkiem B. de Carossi, gdy sam miał lat osiem. Siedemdziesiąt siedem lat przetrwała ta przyjaźń, i obaj przyjaciele, ubrani w jednako- we mundury powstańców, dzisiaj, jak przed blisko wiekiem, są jej wierni. Więc lata nauki w realnem gimnazjum warszawskim, mieszczącym się w gmachu późniejszego, rosyjskiego już korpusu kadetów. Ostatnie klasy, prace konspiracyjne w towarzystwie uczni szkoły sztuk pięknych, lata górne i chmurne. Wyjazd przymusowy na studia zagranicę, wiadomość o wybuchu powstania, powrót, polecenie Langiewicza przewożenia amunicji dla wojsk powstańczych. Pięć razy transport udał się pomyślnie, — przy szóstym wytropili powstańców austriacy. Więzienie, ucieczka do Ameryki.

— Czem się pan tam zajmował narazie?

— Trudno na to odpowiedzieć, a raczej bardzo łatwo: nieomal wszystkim.

Różne rzemiosła i sztuki nawet, jak np. dwa lata nauczycielstwa rysunku w uniwersytecie. Ciężka choroba, w czasie której pielęgnowali go, jak krewnego, zacni piekarze, państwo Stetter — zdecydowała o dalszych losach wygnańca: pomagając swoim zbawcom w ich pracy, pan H. uczy się przyrządzania

różnych smakołyków amerykańskich i otwiera własny bar. Obiecuje podzielić się z czytelnikami „Bluszczu“ różnymi wybornymi przepisami na wyrób ciast i ciastek — tajemnicę wyrobów różnych „relis“ też wkrótce posiadziemy.

A propos ciast: — koroną ich jest podobno jeden tort, zwany „Fruit cake“, używany w Ameryce jako ciasto weselne. Taki tort, mający tę rzadką właściwość, iż rok i więcej pozostaje świeży, nie tracąc smaku ani aromatu, pan H. przesłał kiedyś na wesele swej siostrzenicy, zapiekając w nim symboliczny pierścionek z matowym agatem. Wesele odbyło się dopiero w pół roku po przyjęciu smacznej przesyłki, a podobno ów „Wedding Cake“ był mimo to wyborny!

Pan H., po powrocie do kraju, założył fabrykę proszków do pieczywa, pod firmą „Bożydar“; pudełeczko tego proszku pokazuje mi z dumą. Nic niema nowego pod słońcem: my, dzisiejsi, sądziliśmy, że to Niemcy w czasie okupacji sprowadzili do nas ten specyfik, i dotąd, mimo to, iż mamy własną fabrykę takich proszków w Luboniu pod Poznaniem, kupujemy wyroby niemieckie, co jest karygodnym marnowaniem grosza, który powinien pozostać w kraju.

Otóż lat trzydzieści temu była wystawa spożywcza; wystawiała swoje wyroby niezastąpiona Ćwierciakiewiczowa — vis à vis niej wystawił swoje i Horodyński. Między innymi był ów sławny „Fruit-cake“. Pani Lucyna nie lubiła konkurencji, więc w czasie jednej ze swych prelekcji dla publiczności oświadczyła, że ciasto owo jest plagiatem, bo ona właśnie dała na nie przepis. Pan H. zaprzeczył temu i, jako dowód, przytoczył owo ciasto weselne, przysłane znacznie dawniej, jeszcze z emigracji. Reporter z „Kurjerka“ (w tym czasie, gdy polityka była wykluczona, pisma łakomie chwytają wszelką sensację) skorzystał z rzekomej kłótni tych dwojga, i incydent dostał się następnego dnia do kolejnego numeru, no i sprawa tego tortu.

Pani Lucyna następnego dnia zapytuje:

— Czy my się kłócimy?

— Ależ, broń Boże! — odpowiada „Bożydar“ — ja, kłócić się z kobietą? Przenigdy! Zawsze *chapeau-bas!*

— Kiedy tak, to chodź przejść się ze mną po wystawie.

Ćwierciakiewiczowa wszystkich tykała, — no i poszli pod rączkę, a nazajutrz „Kurjer“ miał temat do wzmianki, że antogoniści przykładowie się pogodzili.

Wychodzę z obietnicą otrzymania za następną wizytą przepisu owego cudownego tortu, co to po roku nie zmienia smaku, i pod miłym wrażeniem pogodnej, w pełni władz umysłowych, postaci szanownego weterana.

Pani Elżbieta.



MALOWANIE, ZACIĄGANIE I UTRZYMANIE PODŁÓG I POSADZEK

Prosta i zwyczajna napozór rzecz, jak utrzymanie podłóg, potrzebuje też nauki, opartej na doświadczeniu, coraz to nowych wynalazkach i organizacji, czyli umiejętnym rozkładzie roboty. Mamy trzy kategorie podłóg: myte, malowane olejno i froterowane. Przy myciu — najważniejszą jest rzeczą, aby podłóg nie zalewać, ale myć małymi kawałkami, prędko spłókiwać ścierką maczaną w czystej wodzie, i drugą ścierką natychmiast wycierać do sucha. Tym sposobem nie zapuszcza się wilgoci i nie niszczy desek. Do szorowania używa się wody letniej, gorąca bowiem zbyt łatwo wsiąka w drzewo. Do wody dodaje się sporo sody, a jeżeli podłoga bardzo brudna, to ługu, który doskonale usuwa brud, niszczy bakterje i zarodki wstrętnego robactwa w kuchniach starych domów. Dla dezynfekcji, po umyciu, dobrze jest dodać do wody, którą spłókuje się podłogę, pastylkę sublimatu.

Jak wszystko, co jest malowane olejno, podłogi, zaprawione olejną farbą, również nie znoszą gorącej wody; to też wyciera się je moką ścierką co kilka dni, albo, wyfroterowawszy poprzednio, przeciera codzien sukniami. Gdy dobrze pomalowana podłoga dokładnie wyschnie, — z początku trudniej, potem bardzo łatwo da się froterować; trzeba tylko cieniutko natrzeć ją rozpuszczonym woskiem z terpentyną, albo posypać skrobanaą stearyną. Można też olejne podłogi wytrzeć moką ścierką, a gdy wyschną, przetrzeć drugą, skropioną słodkiem mlekiem, albo olejem lnianym dla nadania im połysku. Podłogi, mające być zaprawiane olejno, powinny mieć przedtem zakitowane szpary między deskami, aby nie gromadził się kurz i nie wylegało robactwo. W tym celu trzeba wziąć pół kilo kleju stolarskiego, namoczyć go w dwóch litrach wody, zagotować, wsypać taką ilość miałkich trocin drzewnych, aby się utworzyła średniej gęstości masa, dobrze razem wymieszać i, póki gorąca — kitować nią szpary. Gdy zupełnie zastygnie — trzyma się bardzo mocno.

Posadzek, zwłaszcza nowych, nie myje się wodą pod żadnym pozorem, ale wiórkuje stalowymi wiórkami najwyżej dwa razy do roku, co jakiś czas zaciąga i froteruje, a codzien wyciera płatami z grubego sukna.

Biorąc się do zmiatania pokoi — tam, gdzie podłogi są myte, na korytarzach i w kuchniach, dla uniknięcia kurzu podczas zmiatania, posypać je trzeba wilgotnymi listkami herbaty, wypłókanymi w czystej wodzie, aby nie plamiły. Te listki zbiera się w gliniane czyste doniczki od kwiatów, z otworem w dole, chroniącym je od zatechnięcia.

Podłogi, zaprawione olejno, wyciera się przed zmiataniem dużą ścierką z rzadkiego płótna, albo z miękiego barchanu, skropioną lekko naftą, albo olejem

lnianym; zbiera się nią kurz z kątów i futryn i dopiero zamiata zwykłą szczotką. Zamiatając posadzki froterowane, trzeba stale chodzić na poczwórnie złożonych płatach wołokowych, któremi równocześnie wyciera się posadzkę. Takie dotarcie suknam zastępuje w ciągu tygodnia szczotkowanie—w mniej używanych pokojach. Raz na tydzień posadzka musi być odświeżona lekką zaprawą z benzyny z woskiem, użytą w sposób następujący: wytrzeć dokładnie kurz z posadzki miękką ścierką, następnie równo natrzeć całą roztworem wosku z benzyną—gdy wyschnie—froterować, poczem jeszcze raz zamieść i wytrzeć suknam.

Jeżeli posadzka tak jest zniszczona, że trzeba ją koniecznie umyć, bo wiórkowanie nie wystarcza albo jest za ciężką pracą—w żadnym razie nie należy myć jej wodą (bo od wilgoci cienkie deseczki posadzki odstają), ale trocinami, zmoczonymi ługiem. Rozsypanymi na podłodze trocinami trze się podłogę, mocno przyciskając ryżową szczotką od szorowania na długim kiju i dosypując coraz nowych trocin, dopóki posadzka nie oczyści się zupełnie. Brudne trociny zbiera się wilgotną ścierką, płótcę ją w zimnej wodzie, wykręca do sucha i dalej wyciera posadzkę. Skoro zupełnie wyschnie, trzeba ją natrzeć jakąkolwiek pastą, kupną, albo w domu przyrządzoną, co znacznie taniej wynosi. Na zupełnie nową posadzkę najlepszą jest zaprawa bezbarwna z wosku z benzyną. Od doboru zaprawy zależy trwałość, łatwość froterowania i połysk posadzki. Benzyna z woskiem ma tę wyższość nad terpentyną z woskiem, że nie przylega do niej brud, froteruje się daleko łatwiej, a niemiły odór benzyny ulatnia się prędzej, niż terpentyny. Do nacierania najlepiej używać niezdatnych już dla nikogo pończoch. Do jasnych posadzek używa się wosku białego, do ciemniejszych—żółtego, w stosunku 25 dekana litr benzyny. Wosk struga się drobno, wsypuje do butelki z szeroką szyjką (od wina np.) i, mocno zakorkowawszy, stawia w chłodnym miejscu na 2—3 dni. Kiedy wosk się rozpuści, mieszać go dobrze i odświeżać nim posadzkę. W pół godziny po natarciu można podłogę szczotkować. Ta masa nie straci połysku, choć woda na nią padnie; wystarczy wytrzeć ją suknam, a świecić się będzie, jak nowa. Słabą jej stroną jest tylko to, że jest łatwo palna, więc trzeba uważać, aby otwierać ją z daleka od ognia i światła, za wyjątkiem elektrycznego, bo może zapalić się w powietrzu i być przyczyną wielkiej katastrofy. Chcąc wosk rozpuścić naprędce, trzeba w naczynie z ukropem wstawić garnek z postruganym woskiem, wynieść go do miejsca, gdzie niema ognia i tam, ciągle mieszając drewnianą łopatką—wlewać powoli benzynę. Chcąc na zabawę tańczącą mieć bardzo śliską posadzkę, trzeba ją posypać sproszkowanym kwasem bornym i froterować. Będzie się śliska, jak szklana. Można zastosować ten sam sposób do zwykłych malowanych desek, które często, zwłaszcza w wiejskich dworach, muszą służyć do tańca.

Dobra Gospodyni.



SZTUKA MIĘSA DUSZONA

Półtora kilo mięsa od krzyżówki pokrajać na kawałki grubości palca i lekko pozbyć, jak na zrazy duszone. Rondel metalowy ze szczelną pokrywą wysmarować grubo masłem, przygotować kilo różnej włośzczyzny, pokrajanej w paski; układać w rondlu warstwami mięso i włośzczyznę, aż się wszystko ułoży, kładąc między rzędami po parę ziarn pieprzu i ziela i soląc mięso, jak zwykle. Gdy się wszystko ułoży, zalać szklanką mocnego i tłustego rosółu, lub nawet samej pozłoty z rosółu. Zakryć szczelnie pokrywą, oblepić szczeliny ciastem i postawić do niezbyt gorącego pieca, lub na blasze,—w ostatnim wypadku należy potrząsać często rondlem, aby do dna nie przystało. Dusić od dwóch do trzech godzin. Podawać w tem samym naczyniu. Oddzielnie—makaron z rumianem masłem, ryż na sypko, lub kartofle z wody.

ZRAZY CIEŁĘCE Z CYTRYNĄ

Kilo sznycłowej cielęciny bez kości pokrajać w poprzek na sześć zrazów, wybić je dobrze, osolić. W rondlu niklowym lub platerowanym rozpuścić sporą łyżkę masła, położyć na nie zrazy, posypać pokrajaną w paski cebulą, marchwią i pietruszką (razem około czterdziestu deka), dusić wolno razem, aż się zraziki lekko przyrumienią. Zetrzeć na tarce skórkę z pół cytryny, wsypać do rondla, wlać sok, wyciśnięty z całej cytryny, łyżeczkę masła śmietankowego, zagotować raz jeden tylko. Podać w tem samym naczyniu. Oddzielnie—odgotowany na sypko ryż, lub drobna kaszka.

PIANKA Z RABARBARUM

Trzydzieści deka rabarbarowych łodyg oczyścić z włókien, pokrajać w kostkę. Trzydzieści deka cukru zagotować z pół szklanką wody, włożyć rabarbarum, dusić, aż się rozgotuje i stanie zupełnie przezroczyste, wystudzić zupełnie. Przełożyć do miski, dodać trzy białka surowe i ucierać drewnianą łyżką, wciąż wierząc w jedną stronę, aż masa zupełnie zbieleje i kilkakrotnie narosnie. Ułożyć na półmisku w ładną piramidę, ubrać konfiturami i biszkopcikami i wydać. Do tej pianki mleka ani śmietanki podawać nie należy, gdyż kwas rabarbarowy w połączeniu z mlekiem mógłby wywołać zaburzenia żołądka.

Pani Elżbieta.

PIĘKNE złoto blond WŁOSY

mają tylko te panie, które używają **HEZABLOND**

Oryginalne tylko z firmą HENRYK ŻAK W POZNANIU Wystrzegać się fałszykatów

DOBRE RADY

Przy odświeżaniu letnich zeszlórocznych sukienek nieraz okaże się potrzebnem upranie materiału przed przerobieniem. Otóż trudność cała leży w tem, aby materiał nie zmienił koloru. Chcąc zabezpieczyć od puszczania tkaniny bawełniane, drukowane w barwne desenie, trzeba je przedewszystkiem prać zawsze w zimnem, rozgotowanym mydle marsylskim. Nie nacierać nigdy mydłem i nie trzeć, ale wyciskać w rozgotowanym, zmieniając je, dopóki zupełnie czysta woda odchodzić nie będzie. Po wypraniu i wypłókanu materiałów, trzeba je namoczyć w wodzie z solą, biorąc na dziesięć litrów wody pełną garść soli, i potrzymać w niej z godzinę. Następnie wyjmuje się jeszcze raz, płócze i wyciska, a nie wyżyma z wody. Roztrzepuje się mocno i suszy w cieniu materiały, rozłożony na prześcieradle. Prasuje się go jeszcze wilgotny przez czysty ręcznik.

* * *

Często się zdarza, że rondel, w którym raz przypaliła się jakaś potrawa, mimo najstaranniejszego wyczyszczenia, przypala za każdym użyciem. Aby tego uniknąć, jeżeli naczynie jest jeszcze dobre, trzeba podłożyć między ogień a dno rondla kawałek blachy. W ten sposób przyrządzane potrawy będą zabezpieczone, a naczynie służyć może jeszcze czas dłuższy.

KORESPONDENCJE

Pani Z. N.—Prokowo. Wszelkie letnie kursy organizują się dopiero. Obecnie są to jedynie projekty, o których, skoro się skryształizują i przybiorą konkretną formę, natychmiast uprzedzimy nasze Czytelniczki, aby pragnąca wziąć w nich udział, w porę mogła z nich skorzystać. Wzory do ubierania tortów podaliśmy w numerze 51 „Bluszczu” z 1927 r.

„Napoje gorące“

SPOSOBY PRZYRZĄDZANIA KAWY, HERBATY
I INNYCH NAPOI GORĄCYCH.

Cena 1 zł. 50 gr.
z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.

Wysła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO”, Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.
Za zaliczeniem nie wysyłamy.

Pani K. — Drozdy. Wzór na ciemny materiał przynosi się białą kalką. Wzorów na kilimy nie posiadamy, natomiast służyć możemy adresem, gdzie ich Sz. Pani dostanie: Warszawa, Nowowiejska 7, m. 1 — Pani Komorowska.

Pani J. K. — Warszawa, ul. Piękna. Doskonały pas na drutach podaliśmy w nr. 4 „Kobiety w Świecie i w Domu”. Radzę Sz. Pani nabyć ten numer, bo o lepszy pas trudno. Można również zrobić pas z wstążek, lub taśmy gumowej na fiszbinkach, ale te nie są tak praktyczne, jak wyżej wspomniane na drutach. Pranie kapelusza słomkowego zależne jest od gatunku słomki; najlepiej będzie włożyć kapelusz na okrągłą formę i nacierać go, naturalnie po oczyszczeniu z kurzu, szczoteczką, słabym roztworem potażu z wodą. Gdy nieco przeschnie, dla przywrócenia białości słomie, która od wody zawsze zżółknie, nacierać miejsce przy miejscu siarką mialką przesianą, następnie zdmuchnąć i oczyścić siarkę, a kapelusz — ciągle na formie — natrzeć gąbką, maczaną w lekkim roztworze krochmalu ryżowego. Przykrywszy bibułą, póki wilgotny, prasować, nie przyciskając, żelazkiem elektrycznym, wyjętem z kontaktu, albo stalowem bez duszy, żeby nie spalić. Można też rozrobić siarkę z żółtkiem na gęstą papkę, natrzeć tą papką kapelusz, a gdy wyschnie, oczyścić szczotką i zdmuchnąć pozostałą siarkę.

Stałą czytelniczkę „Bluszczu”. Najprzyjemniejsza jest biała pościelowa płócienna, najbardziej elegancka — batystowa i to, jak obecnie, kolorowa. Fartuszki do prześcieradeł pod kołdry powinny być przypinane na te same guziki, co prześcieradła. Guziki nie powinny być przyszywane do poszewek, ale do pasków, przyczepionych w dwóch końcach do poduszki, zrobionych z tego samego, co wyspki, materiału. Spinki są bardzo niepraktyczne: rozrywają dziurki i wiecznie wypadają. Płótna i cienkie białe materiały najlepiej kupi Sz. Pani w sklepach Żyrardowskich. Monogramy dawać należy tylko z boku. Znak na środku niemiły jest dla twarzy, którą odgniata, a przecież nietylko o estetykę, ale i o wygodę dbać trzeba.

Pani A. S. — Gdyszyn. Naturalnie, że robotami, podawanymi w „Kobiecie w Świecie i w Domu”, miło nam będzie usłużyć wszystkim Czytelniczkom i osobom, zainteresowanym naszymi wydawnictwami. Prosimy o kierowanie zapytań i zamówień do wielkiej rodziny Tow. Wydawniczego „Bluszcz”, a najchętniej udzielimy wszelkich informacji i wykonamy każdy obstalunek. Przyborów do haftu smyrneńskiego dostanie Sz. Pani w firmie Rozmanit — Warszawa, ul. Ossolińskich nr. 8.

Konfiturę z dyni robi się w sposób następujący: Z rozkrajanej i oczyszczonej z pestek dyni powykrawać łyżeczką od drążenia kartofli 50 dkg. okrągłych kulek. Obgotować je w wodzie, a potem przelać zimną wodą, skropić sokiem z cytryny i kieliszkami araku. Następnie zalać lekkim syropem, z 50 dkg. cukru zrobionym, i smażyć 10 minut. Nazajutrz dodać drugie 50 dkg. cukru do poprzedniego syropu, wysadzić i smażyć kulki zwyczajnie, aż do przezroczystości.

LABORATORJUM
HIGJENICZNYCH KOSMETYKÓW

podług przepisów Dr. J. ŚWITALSKIEJ

Płyn na wzmocnienie włosów. Jajeczka do mycia włosów. Maść na łupież. „Mój krem” tłusty i suchy, „Mój krem” przeciw zmarszczkom „Mój puder”, Krem cytrynowy. Krem poziomkowy, Galaretka na rozszerzenie porów i tożo'ok. Perekłki do pielęgnacji twarzy i biustu. Maść przeciw odmrożeniom. Mydła cytrynowe, poziomkowe i lilijowe. Róża higieniczne. Maski na twarz. Maść na pięgi.

HIGJENICZNE KOSMETYKI — KRUCZA 31, m. 3.

Na prowincję wysyłka za zaliczeniem.

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17.40, gr., rocznie — 69.60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7.20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Krak.-Przedm. 99, Konto P.K.O. — Warszawa 3700.

Wszelkie reklamacje załatwia Ekspedycja „Bluszczu” — Górnośląska 19, tel. 244-75.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”. Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW
Redakcja i Administracja: Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239-40. Ekspedycja: ul. Górnośląska 19. Tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Rymarska 8, tel. 244-18.